

7
1/10

III a 5487

At 5345 9

Ks. Jan Władzinski

109

ERNESTA LECOUBE'GO

przetłumaczony

OJCOWIE I DZIECI W XIX WIEKU.

przetłumaczony

Jadwiga Olszowska.

przetłumaczony

OWA MI OOGOLNE

O WYCHOWANIU I WYKSZTAŁCENIU

BAIENKOWAT

przetłumaczony

Jadwiga Olszowska.

WARSZAWA

Drukarnia Poligraficzna Opłukowa, Brudnowo

1873



J. Lewicki 2
109

WYJĄTEK Z DZIEŁA

ERNESTA LECOUCVE'GO

pod tytułem

OJCOWIE I DZIECI W XIX WIEKU.

PRZEKŁAD

Jadwigi Ochorowicz.

~~~~~  
UWAGI OGÓLNE

O WYCHOWANIU I WYKSZTAŁCENIU

DZIEWCZĄT

przez

Jadwigę Ochorowicz.

~~~~~  
WARSZAWA.

Nakładem Redakcyi Opiekuna Domowego.

1873.

Ks. Jan Madziński



Дозволено Цензурою

Варшава, 14 Августа 1873 года.

WARSZAWA.

1873.

OJCOWIE I DZIECI W XIX WIEKU.

OTCOWIE I DNIKI W XIX WIEKU

Czytając dziełko *Ernesta Legouvé*, Członka Akademii Francuskiej, pod tytułem: „*Ojcowie i dzieci w XIX-m wieku*”, znalazłam w nim wiele poglądów nadzwyczaj trafnych,—co więcej, wyrażonych w miłej i łatwej do naśladowania formie.

Jestto dziennik ojca, który, wyzwany że tak powiem, przez małego synka swego; spisuje uwagi, spostrzeżenia i srodki, jakich używa sam i wspólnie z żoną, by wychowywać rozsądnie i pożytecznie swojego jedynaka.

Jakkolwiek cała ta książka zasługuje na uwagę pedagogów, pragnąc wszakże coprędzej podzielić się tym, co z przyjemnością i korzyścią czytałam sama, postanowiłam tymczasem wybrać kilka rozdziałów, które tu podaję.

Rozdział pierwszy zawiera początek dziennika. Przedstawia nam właściwą stronę charakteru każdego dziecka — ciekawość, czyli chęć poznania wszystkiego co je otacza; — oraz przekonywa nas,

iż ta ciekawość, ujęta zaciętą i umiejętną dłonią wychowawcy, stanowi o rozwoju władz umysłowych; jest początkiem i dopełnieniem wychowania, a następnie wykształcenia.

Rozdział drugi traktuje o karze cielesnej.

Rozdział trzeci ukazuje nam budzące się w wychowawcu sumienie, oraz przedstawia sposoby, jakimi kształcić je można.

Rozdział czwarty uczy nas, jak można kształcić wolę, jak tę wolę skłaniać do czynów wzniosłych, szlachetnych—jak ją hartować i tym sposobem budzić w młodzieńcu szlachetną odwagę, stanowiącą tak piękną stronę charakteru mężczyzny.

Zobaczmy jeszcze, co mówi sam autor o swym dziełku:

„Książka ta jest dziennikiem ojca, czyli obrazem jego pojęć moralnych, rozwijanych przez niego samego, w miarę, jak tego wymagają wypadki życia jego z synem”.

„W ojcu tym przedstawiam siebie. Nie, żeby to opowiadanie dotyczyło mojego życia, lecz, że tym sposobem spodziewam się nadać więcej prawdopodobieństwa osobistości, więcej ważności jej uczuciom”.

„W chwili rozpoczęcia tej książki, ojciec ma lat 35, a syn sześć lub siedm. Ojciec używał aż dotąd

tak jak my wszyscy, tych słodkich praw, które co-
 raz silniej zbliżają rodziców do dzieci; lecz nie za-
 stanawiał się bynajmniej nad ważnością tych cią-
 głych stosunków. Czuł się w nich szczęśliwym i nic
 więcej. Jedno z tysiąca tych wydarzeń zwyczajne-
 go życia, jedno pytanie rzucone przez dziecę, two-
 rzy między nimi całkiem nowy związek. Ojciec za-
 stanawia się nad obowiązkami swojemi, jako wycho-
 wawcy i nie przewiduje zrazu, dokąd go ten pierw-
 szy krok poprowadzi. Pobudzony przez swego ma-
 łego towarzysza, postanawia odbyć z nim przegląd
 przedmiotów ciągle pod oczy podpadających, wia-
 domości codzien w mowie będących. I ani wie,
 kiedy i jak przechodzi ze świata fizycznego w świat
 moralny, dalej w świat myśli, uczuć, namiętności;
 następnie w świat religijny, to jest duchowy, czyli
 w pozaświat. W tym pochodzie jego myśli, wystę-
 pują przed nim jedne po drugich, pod różnorodne-
 mi postaciami najważniejsze zagadnienia, dotyczące
 najgłębszych tajników rodzinnego pożycia. Raz,
 jestto prawo moralne, które należy wytłumaczyć,
 to znów, jakaś wiadomość, którą musi przyswoić,
 albo wreszcie jedno z tych zdarzeń podniosłych,
 w które tak obfituje życie nasze, a które myśl na-
 szę rzucają odrazu, w sam rdzeń najżywotniejszych
 i najzawilszych zagadek życia.... Należy rozstrzy-

gnąć te trudności, bo dziecię czeka niecierpliwie.... Tak więc, wychowując syna, ojciec wychowuje także siebie; z błędów własnych poprawia się, by dziecię od nich uchronić. Takimto sposobem otrzymuje się ową wspólną korzyść, uzyskuje się to podwójne dzieło, które wkrótce staje się podstawą ich życia, to jest: wychowaniem syna przez ojca i nawzajem, wychowaniem ojca przez syna.

A jak w „Boskiej Komedyi” Danta, spieszą owi nieśmiertelni podróżnicy przez kręgi piekielne i niebieskie, tak ręka w rękę postępuje ojciec z synem przez ciemne lub jasne ścieżki tej ziemskiej pielgrzymki. Tak dążą razem dwie dusze: prowadząca i prowadzona, ku jednemu zmierzając celowi: ku światłu!...

Taki jest cel mój, takie plany. Opowiadam nie tylko pojedyncze fakty, ale usiłuję też przy nich rozjaśnić zagadnienia ogólne; które nas wszystkich zajmują; przedstawiam obraz jednej tylko duszy, życie jednego ojca, lecz staram się, ażeby i drudzy ojcowie znaleźli tam treść i odbicie własnych myśli i czynów. Podobnie jak szkło zbierające, łączę i skupiam rozproszone promienie w jedno świetne ognisko. Powoduje mną inna myśl jeszcze: mam nadzieję, że przedstawiony w tej żywej formie obraz idealny a jednak prawdziwy ojca i syna z dni

naszych, będzie nauką pożyteczniejszą, aniżeli ogólnikowe rozprawy. Obraz dobrego, jest niemniej pewnym przewodnikiem, jak obraz złego, a najdroższą moją nagrodą tej długiej pracy będzie: rozbudzenie w kilku ojcowskich sercach tych świętych i głębokich roskoszy rodzinnego życia, których nie domyślamy się nawet, nie znając ich, ale których niepodobna zapomnieć, gdy się je straciło”.

DZIENNIK OJCA.

Wczoraj, siedziałem sobie przed kominkiem i czytałem bardzo zajmujące i ciekawe wspomnienia z wycieczki do Chin. Syn mój bawił się przy mnie. Wtym, chwycił mnie za rękę i zapytał: „Ojczy daczego?...” — „Daj mi pokój!” — „Dlaczego dmuchając na...?” — „Dajże mi pokój!” zawołałem. Lecz on, jak zwykle dziecko zaciekawione, które byle czym zbyć się nie daje, nie przestawał nalegać:— „Dlaczego ojczy, gdy dmuchamy mieszkciem na ogień, on się coraz silniej roznieca? Ojczy!... odpowiedz mi, wytłumacz mi to, mój drogi ojczy!... — Niewiem, odpowiedziałem zniecierpliwiony, odpychając chłopczykę. On odszedł zasmucony, a ja chciałem czytać dalej. Lecz jakoś mi nie szło... Raz

przerwany wątek opowiadania, trudno mi było uchwycić napowrót. Patrząc w książkę, wśród nazwisk i opisów tych odległych okolic, widziałem ciągle pytające oczy dziecka i ich chciwe wiadomości spojrzenie. Wkrótce też, anim się spostrzegł, jak wybrzeża Chin uszły gdzieś odemnie, a myśli moje podążyły za owym nieskończonym: *dlaczego*, które stanowi że tak powiem, zasadę mowy dziecięcej. Bo ileż tam zmysłu badawczego! myślałem sobie. Jak wszystko ich zaciekawia w tym nowym dla nich świecie! Jakże szczerą boleść malowała się na małej twarzączce chłopczyny, gdym go odepchnął... Bo też, jak mogłem go odepchnąć? Czy się godzi, czy nie grzech, morzyć niejako tę chęć chwalebłą, która jest jakby łaknieniem, pragnieniem wiedzy. Czyż to nie to samo, co gdybyśmy im zawiązali oczy? Otoczeni ciemnością, nie mogą widzieć. Najwyraźniejsze przedmioty tracą wówczas dla nich kształty właściwe. I to my pograżamy w ciemności tych, których powinniśmy oświecać? Te uwagi stały się wkrótce wyrzutami. — Bo rzeczywiście, dlaczego przed chwilą nie chciałem mu odpowiedzieć?... czemu, zamiast go objaśnić, powiedziałem: niewiem...? Lecz za ledwie zadał sobie to pytanie, uderzyła mnie myśl nagła: — Dlaczego powiedziałem mu: niewiem?... Oto dla bar-

dzo prostej a ważnej i zarazem bardzo nagannej przyczyny... ponieważ... nie umiałem mu odpowiedzieć!...

I książka wypadła mi z ręki. Nieumiejętność moja poraz pierwszy ukazała mi się w całym swym znaczeniu, a książka upadając, otworzyła się i spostrzegłem jej tytuł: „*Podróż po Indyjach i Chinach*”. — A to dziwna! pomyślałem; ślęczę nad tym, co się w Chinach dzieje, a niewiem, dlaczego mieszek, którego używam co chwila, roznieca ogień, który mię ogrzewa codziennie! Co mówię, alboż tylko o mieszek tu idzie? A cóż wiem o gwoździu, na którym on wisi; o murze, w który gwóźdź wbijamy; o papierze, którym ten mur oklejamy? A o książce, którą czytam; o papierze, na którym wydrukowana... Któż to zrobił? Jak, kiedy i gdzie? I tak mnożyły się coraz to nowe pytania, i więcej tych „dlaczego” przybywało. Zdawało mi się, jakby każdy przedmiot się ożywił i zadawał mi pytania! Wszystkie te tajemnice, wśród których żyłem spokojnie, wcale ich nie znając, ani starając się poznać, naraz stały przedemną, obarczając co chwila nowym pytaniem, na które jedną tylko i to niepochlebnią dla mnie miałem odpowiedź: nic nie wiem! Głos dziecka rozbudził mię z tego snu niewiadomości. I dla niego też chcę się ocknąć. Będę badał ten

małeńki świat, jaki się mieści w jednym pokoju abym mógł być jego przewodnikiem i umiał objaśnić mu wszystkie te cuda.

Ksawery de Maistre, ten umysł subtelny, który dowcipem przypomina wiek XVIII, a marzeniami do naszego przystaje, on-to napisał wyborną w swoim rodzaju książkę, pełną sceptycyzmu i zarazem tkliwości. Czuć w niej człowieka, który widział Voltaira i przeczuwał Chateaubrianda; lecz w rzeczywistości, jego „Podróż naokoło pokoju” miała ten cel dowcipny: jakby się z tego pokoju wydostać. Ja zaś, w sobie zamykam całą przestrzeń wycieczek moich, czyli, podróżuję w moim umyśle. A ty, kochany ciekawski,—ty, którego uporczywe „dlaczego” wprowadziło mnie w zastęp nowych myśli, pójdź ze mną, słuchaj, patrzaj, ucz siebie i mnie przy sobie! O! dzieci, dzieci! My was bardzo niby kochamy, a jednak nie wiemy dokładnie, czym wy dla nas jesteście. W was, daje nam Bóg nie tylko źródło niewyczerpane rokoszy, ale i nauki. Wy stajecie się niejako naszymi nauczycielami. Wasze naiwne pytania otwierają nam oczy. Potrzeba nauczania was, zmusza nas samych, by się uczyć lub oduczać. Wam więc zawdzięczamy wszystko—nawet to, co wam dajemy!

O KARZE CIELESNEJ.

Wczoraj pozwoliłem synowi mojemu zaprosić do siebie na śniadanie jednego z małych jego przyjaciół. Żona moja po dwutygodniowej słabości poraz pierwszy siadła z nami do stołu. Radość też była wielka z tego powodu; lecz koniec śniadania zakłócił całą naszą przyjemność.

Dzieci, najlepsze nawet z natury, podlegają pewnemu rodzajowi egoizmu tak dalece, iż z uniesieniem a niekiedy nawet z gwałtownym uporem bronią swojej własności. I to mnie wcale nie zadziwia. Jestto ułomność duszy ludzkiej. My, ludzie dojrzały, różnimy się często od dzieci tym tylko, że taimy nasze uczucia, a one swoje otwarcie wyjawiają. Lecz uważałem w dzieciach i to, a przynajmniej w synu moim, który do najgorszych nie należy, iż z łatwością pocieszają się po doznanej krzywdzie lub stracie, skoro ta nietylko jedno z nich spotyka. Nie otrzymać tego, czego pragną, nie jest prawie cierpieniem dla nich, gdy i drudzy tego nie otrzymują.

Wczoraj po śniadaniu matka odmówiła naszemu synowi żądanej moreli. Urażony tą odmową—urażony mówię, bo to więcej dotknęło jego miłość

własną niż łakomstwo, odwrócił się do towarzysza i powiedział: „I ty nie dostaniesz!” A gdy rzeczywiście mimo wołania tegoż: „Ja chcę!” odmówiliśmy mu także z obawy, by mu nie zaszkodziło, syn nasz tryumfował.

„Otóż i ty nie dostaniesz!... nie dostaniesz!... nie dostaniesz!” powtarzał nieustannie małemu przyjacielowi swojemu, a ten znów nie przestawał krzyczeć: „Ja chcę!... ja chcę!” a krzycząc płakał. Łzy malca rozśmieszyły mojego syna, a śmiech jego powiększył płacz tamtego chłopca. Kazałem uspokoić się Maurycemu; ale mnie nie słuchał, albo raczej podług obłudnego zwyczaju dzieci, umilkł na chwilę, a potem znów zaczął powtarzać przez zęby złośliwą swoją piosneczkę: „Otóż i ty nie dostaniesz!” Rozgniewany tym nieposłuszeństwem, dotknięty tym, co mi się wydawało z jego strony złośliwością, podbiegłem ku niemu i już podniosłem rękę, by go uderzyć, gdy w tejże samej chwili zerwała się z siedzenia moja żona i podbiegłszy także ku niemu, zawołała drżącym głosem: „Ani się waż dotknąć mojego dziecka! Ja ci tego zabraniam!”

Te wyrazy: „ani się waż! ja ci zabraniam!”... ten dziwny wykrzyknik: „mojego dziecka!” ten gwałtowny zwrot zwierzęcy niejako, wstrzymały gniew mój. Chora zaś, blada z osłabienia i oburzenia za-

razem, chwyciła syna za rękę i uszła z nim spiesźnie. Drugi chłopiec poszedł za niemi, rzucając to na mnie, to na moją żonę spojrzenia pełne podziwu i przestachu, tak wyraźnie malujące się w oczach dzieci na widok scen, które niezupełnie pojmują. Ja zaś, poszedłem do mego pokoju zirytowany, pomieszany, a zwłaszcza obrażony owym imponującym zakazem.

W dziesięć minut może zapukał ktoś do drzwi. Była to moja żona.

— Mój drogi, powiedziała; muszę ci się wytłumaczyć i prosić o przebaczenie za tak niezwykle z mojej strony uniesienie, dodała z półuśmiechem.

— To słuszna, odpowiedziałem, usiłując się pohamować; lecz zdaje mi się, że lepiej było nie odzywać się w ten sposób w obec naszego i cudzego dziecka. „Ani się waż! ja ci zabraniam!”... Wszak nie jestem żadnym despotą, mężów tyranów nie pochwalam nawet, lecz to rzecz straszniejsza od despotyzmu: mąż zawojowany, poniżony przez żonę. Czyż podług dzisiejszych zwyczajów, żona mówiąca do męża: „ja ci rozkazuję”, nie traci na godności? A uległość i łagodność z jej strony, jestże w oczach wszystkich słuszną, czy też poniżającą?... Wszak nawet religija każe jej jako chrześcijance być posłuszną. A mąż, do którego żona mówi: „ja

ci zabraniam”, jakąż śmiesznością się okrywa, zwłaszcza, jeżeli są przy tym świadkowie.... Wtedy i ona niezawodnie traci w ich oczach na szacunku. A jakiebądź byłoby uniesienie moje względem mego syna, tyś mu większą zrobiła krzywdę tym jednym wyrażeniem, niżbym ja mógł zrobić, gdybym go ukarał. Postąpiłaś niebacznie....

— Ja sama to czuję — odpowiedziała mi łagodnie — i dlatego właśnie przychodzę prosić cię o przebaczenie. Mogłabym wszakże na obronę moję powiedzieć, że to był krzyk wewnętrzny, krzyk matki, wywołany gwałtownym, nieprzepartym, instynktowym uczuciem, które nie daje nam znośnić widoku cierpień dzieci naszych. Powiadają, że kury stają do walki z drapieżnymi ptakami w obronie swoich małych, a jakże chcesz żebyśmy nie broniły swoich? Lecz wyznam ci wszystko.... Gdyby to tylko instynkt macierzyński odzywał się wtedy we mnie, umiałabym go zagłuszyć przez szacunek dla ciebie, ale była tam jeszcze inna pobudka silniejsza, ważniejsza daleko, która mnie do tego kroku popchnęła.

— Ważniejsza, silniejsza mówisz?

— Tak! byłoto wspomnienie... I dziś czuję się w obowiązku powiedzieć ci to, com tała dotąd

przed wszystkimi— com chciała przed sobą samą zataić.

— Cóżto takiego?

— Mój ojciec był popędliwym aż do gwałtowności. Pewnego dnia—miałam wówczas lat 15... on—w twarz mnie uderzył!....

Przy tych wyrazach zbladła straszliwie i zamilkła, bo nie mogła mówić dalej. Następnie, pokonywając się, zaczęła znowu przyciszonym głosem:

— Dziś mam lat 30 i nie zapomniałam tego jeszcze. Ojciec mój umarł, a jam mu nie przebaczyła....

— To być niemożliwe!! — zawołałam.

— Powtarzam raz jeszcze—odpowiedziała,—jam mu nie przebaczyła. I od owej chwili poprzysięgłam sobie, iż nie dopuszczę, by ktokolwiek w mojej obecności uderzył moje dziecko.

— Lecz rozważ—odpowiedziałem,—żeś ty była kobietą i żeś miała wówczas lat piętnaście, a syn nasz ma zaledwie dziesięć.

— Na to mogłabym ci dać straszną odpowiedź, odrzekła smutnie,—lecz nie chcę, nie powinnam.... Pozwól sobie tylko powiedzieć, iż nie wiemy wcale, w którym roku budzi się duma w duszy szlachetnej—kiedy odzywa się w niej poczucie obelgi, ani do jakiego stopnia dojść ono może. W każdym

jednak razie, wszak sam to przyznasz mój przyjacielu, iż obowiązkiem jest rodziców budzić w dzieciach naszych to uczucie, a nie zagłuszać.

— Ojcowskie napomnienie, dane takiemu malcowi, nie jest obelgą, odpowiedziałem z pewną niecierpliwością. Nasi ojcowie niemniej od nas byli ambitni, a oni odbierali i wymierzali razy—i wcale ich to nie obrażało ani poniżało.

— To znów dowodzi — odpowiedziała stanowczym i podniesionym głosem, co się jej dotąd nie zdarzało, — iż tak w tym względzie, jak i w wielu innych, czasy się zmieniły. Co dawniej nie poniżało—dziś poniża; co dawniej nie budziło oburzenia—dziś je budzi. Tyś mi nawet sam mówił, iż jedną z zalet tego wieku jest uszanowanie w ludzkiej istocie—człowieka.

— Człowieka, ależ nie dziesięcioletniego smarkacza....

— Gdyby twój syn był w szkole, a jeden z nauczycieli go obił, cobys wtedy zrobił?

— Z takiej szkoły odebrałbym syna mego natychmiast, dawszy przytym porządną naukę nauczycielowi.

— A to zaco? Że syna twego obił? a wszak ty sam chciałeś go uderzyć!

— Mój syn jest moim synem a nie jego! Ja mam prawo go uderzyć, ale nie on!... ¹⁾

¹⁾ Tu, niejeden przeciwnego będzie zdania, bo są jeszcze rodzice, którzy utrzymują, że nietylko nauczyciel, ale każda prosta niania ma prawo bić dziecko. „Bo trudno się nie zniecierpliwić” powiadają. Lecz wiele jest i takich matek, w których wre wszystka krew na myśl samą, że ktoś drugi znęca się nad ich dzieckiem. Znęca się mówię, bo ileżto razy widzieć się daje, jak piastunki po twarzy, głowie, plecach, a nawet i piersiach, biją nieszczęśliwe dzieci, a rodzice patrzący przez szpary na to ich postępowanie, ani się spodzieją często, skąd dziecko dostaje jakiej choroby, która nieraz najsmutniejsze miewa następstwa. W najlepszym razie, dziecię czułe smutnieje, robi się nieśmiałe, lękliwe, co podsycy gniew owych opiekunek, a w podziw wprawia rodziców. „Co się dzieje z tym dzieckiem? takie było wesołe, swobodne, a dziś mruk jakiś” powiadają. Albo znów, inne dziecię, silniejsze i mniej czułe, oswaja się z tym postępowaniem, nic sobie z niego nie robi, dopuszcza się najzłośliwszych figłów, a w końcu przeprasza i prosi swoją opiekunkę, by rodzicom nie powiedziała, a gdy ta się opiera, przychodzi nieraz do tego, że dziecko powiada: „Albo ja się ich boję? to sobie powiedz, i ja też powiem co ty robisz”. Gdy znów dziecko czułe—na jedną pogrózkę piastunki: „Tylko mi piśniesz przed mamą lub tatką, to ja ci dam!” drży i milczy ze strachu. I oto w obu razach cierpi dziecko, cierpią i rodzice na tej samowolnej opiece. Smutne, lękliwe dziecko wyrasta nie-

— Czemużbyś nie miał udzielić mu tego prawa, jeśli ono zawiera tak pomyslny środek wychowania?

raz na mrukliwego, ponurego młodzieńca, traci zaufanie i śmiałość do rodziców, a następnie robi się z niego człowiek podejrzliwy i niedowierzający. Silne zaś i rezolutne dziecko, nic sobie z niczego nie robiące, czasem wprawdzie jakby cudem, wyrasta na bardzo dobrego człowieka; lecz częściej wyrabia się w nim charakter przebiegły, kłamliwy, nie przebierający w środkach, by na swoim postawić. W obu więc razach tracą rodzice co najmniej powagę i miłość. Oto są owoce podobnego wychowania. Jakże wzdryga się serce na samą myśl o owych karach, które wymyślano dawniej w zakładach naukowych, a które i dziś niestety, znajdują jeszcze zwolenników. Nietylko, że bez litości bito liniją tak zwane *łapy*, targano za włosy i uszy, przypinano ośle uszy, długie języki, sadzano klęczyć na grochu i tym podobnie, ale bito, a i dziś biją jeszcze kantówkami po rękach aż do krwi. Widziałam ojca, — był to wprawdzie biedak, który nie miał pretensyi do znajomości zasad pedagogicznych, lecz był zawsze ojcem, to przecież powinien mieć serce. Otóż ów szanowny papa, zajęty w sklepie swoim przemysłem, kazał pisać litery na kajecie małemu chłopcu, który drżącą rączyną trzymał pióro, a ojciec co chwila spoglądał na napisaną literę i nietylko w najobelżywszy sposób wymyślał, ale i bił kantówką po owych biednych palcach splakanego chłopca. O! jakże straszna taka nauka!

— Moja droga, dajmy pokój przymówkom, a raczej pomówmy rozsądnie. Lekka rodzicielska nauczka, właściwie zastosowana, jestto sprawiedliwość

Przychodzi mi na pamięć jeszcze jeden przykład: Działo się to w szkole żeńskiej. Nauczycielka kazała trzynastoletniej dziewczynce klęczyć za jakieś przewinienie; dziewczę nie usłuchało; oburzona tym nauczycielka zbliżyła się do niej i gwałtem z ławki wyprowadzić ją chciała. Dziewczyna, niewiele myśląc, odepchnęła ją, odgrażając się przytym, że to silniej powtórzy, jeśli raz jeszcze zbliży się do niej. Naturalnie, nie było co próbować; lecz zostawić zuchwałą dziewczynę bez kary, także się nie zgadzało z przekonaniem nauczycielki. Po naradzie więc z przełożoną szkołą, postanowiono: iż za tak wielkie przewinienie krnąbrna dziewczyna jadać będzie przez cały tydzień przy osobnym i to nienakrytym stole. Wyrok ogłoszono i zaraz przy nadchodzącym obiedzie wykonano. Dziewczę wszakże ani siąść przy stole ani jeść nie chciało, milczeniem lub półsłówkiem zbywając wszystkie uwagi. Tak przeszedł dzień cały; nadszedł drugi, a dziewczę ani siedzieć przy stole ani jeść nie chciało. Nie żaliła się przed nikim, ale unikała spotkania ze swemi przewodniczkami, — a ile razy kto próbował zreflektować ją, powtarzała uporczywie: „niech się nie cieszą swoją karą, nic z niej nie będzie”. Naraz dziewczyna chwiać się zaczęła i zemdląła. Wtedy zaniesiono ją do infirmeryi, położono do łóżka, otrzeźwiono, a dozorczyńni przyniosła coprędzej herbaty, rumianku,

doraźna, przez którą zyskujemy na czasie, bo ona w jednej chwili poprawia.

Lecz na nieszczęście! — odezwała się z równą

rosolu; lecz napróżno — niczego do ust wziąć nie chciała, i trzeba było szukać osoby, której dziewczynka wiele okazywała przychylności, i ta dopiero, niby w sekrecie i od siebie przyniosła jej herbaty, mleka, bulijonu, wina trochę; od niej tylko i na jej prośby przyjmowała wszystko, ale pod warunkiem, że to wszystko nie pochodzi z zakładu, lecz od owej osoby. Dzięki Bogu, nie doszło do niczego złego. Po paru dniach osłabienia, dziewczę wstało, uznało swoją winę, przyrzekło poprawę; lecz tylko dobrocią, tylko pieśczołą można było ją skruszyć. Była sierota. Ojciec ożenił się poraz drugi, a macocha obchodziła się z nią bez miłosierdzia. Zuchwałą, leniwą, nieposłuszną i kłamliwą oddano do szkoły. I oto, jakim sposobem starano się ją poprawić. Są dzieci, dla których już niema kary. Oswajone ze wszystkimi gwałtownymi środkami, tracą ambycję, dochodzą do ostateczności — i biada tym, którzy silić się zechcą na utrzymanie w ten sposób swojej powagi. Gdy tymczasem, nie zdarzyło mi się jeszcze; by dobrocią nie pokonać złego dziecka, a miałam z nimi bardzo wiele do czynienia. Ciężko to, mozolnie bardzo, lecz jakże słodka nagroda w sumieniu!

Widzimy nieraz, jak dziecko maleńkie, przy piersi nawet jeszcze, na każdy wyraz ostrym lub donośnym wymówiony głosem, odwraca się, słucha, przestaje ssać, a często w płacz uderza i tuli się do matki lub nianki przera-

gwałtownością, — w chwili uniesienia zapominamy o poprawie złego. Bo powiedz tylko szczerze: czy przed chwilą, podnosząc rękę na twego syna, my-

żone. Kiedy więc sam dźwięk głosu takie robi na nim wrażenie, to cóż dopiero później ciągle hałasy, wymysły, łajania, groźby lub kary. Nie powiem, żeby bez postrachu lub kary a nawet niekiedy i różgi obejść się można było zupełnie. Lecz zaręczam, iż mniej złego zrobi rozsądne pobłażanie, niż niewłaściwie użyte kary, zwłaszcza te, które ambycją obrażają. Bo tę ambycją tak w chłopcach jak dziewczętach podnosić a nie osłabiać należy. Ona to nie tylko ułatwia pierwotne wychowanie, ale jakże dobroczynnie wpływa później na obyczaje młodzieży?

Znam szkołę, w której przyjęto za zasadę usunięcie wszelkich kar, obrażających ambycją: klęczenie, wypychanie za drzwi, sadzanie po kątach i t. p., jak również wymysły i hałaśliwe napomnienia; wszystko to było wyrugowane. Dziennik, w którym codziennie zapisywano pilność i sprawowanie się uczennic, — cenzurki miesięczne, wydawane dla wiadomości rodziców o postępach i sprawowaniu dzieci, na których w razie potrzeby zamieszczano upomnienie, a niekiedy szczególną pochwałę, co rodzice podpisać byli obowiązani — oto było wszystko. A jednak nikt nie powie, że uczennice tej szkoły były niepilne, nieposłuszne, zuchwałe lub uparte; przeciwnie, trudnoby znaleźć pilniejsze i chętniej poddające się wszelkim przepisom. Zdarzały się niekiedy i wyjątki. Czasem nawet trzeba było parę wydalic, to jest oddać napowrót rodzicom, lecz to robiło się



ślałeś o jego poprawie? Nie! Tyś tylko uległ niecierpliwości! Cóżbys zrobił, gdybys za ten czyn popędliwy, od którego cię powstrzymała, usły-

w ostateczności, bez hałasu. Wszystkie uczennice wiedziały, jakie ciążyły na ukaranych winy, i nikt się nie dziwił, gdy ich zabrakło, gdyż na paręset różnego wychowania i pochodzenia dzieci parę złych, to nic dziwnego. Dla dobra drugich dzieci trzeba nieraz było tak postąpić. Powtarzano im też przy każdej sposobności, że do szkoły przychodzą za nagrodę a nie za karę, że jeśli dotąd źle się sprawowały, to spodziewano się, że w szkole się poprawią, bo tu wszyscy pragną tylko ich dobra, — a pilnością swoją i postępem w dobrym, nagrodzą rodzicom koszta na nich łożone, nauczycielom ich trudy, a same staną się godnymi należenia do liczby uczennic. Oile dzieci wierzyły tym wyrazom, pokaże nam następujący przykład: Pamiętam raz, byłoto w pierwszej klasie na lekcyi moralności, którą dzieci lubiły bardzo; bo nie kazano im uczyć się na pamięć zasad moralności, lecz czytano lub kazano czytać różne wpierv umyślnie wybrane powiastki, które następnie opowiadały—a wyliczając napotkane tam wady i złe skłonności, lub też zalety i cnoty — uczyły się na tych przykładach, czego się strzedz lub odzwyczajając powinny, a co naśladować i utrzymywać w sobie, by się stać miłemi Bogu i ludziom. Otóż na takiej lekeyi, jedna z niesfornych i nieuważnych uczennic, kilkakrotnie zapytywana przez nauczycielkę: o czym mowa? nietylko, że zaraz nie umiała odpowiedzieć, ale jeszcze ciąglemi figlami przerywała uwagę

szął to, com ja słyszała w takim razie z ust chłopca jego wieku:... „To wcale nie bolało!” Byłbyś zapewne uderzył mocniej, lub uznał się pokonanym!... Wierzaj mi — ojciec uderzający dziecię w chwili uniesienia, niejestto wcale sędzia wymierzający karę, ale człowiek mszczący się w napaędzie gniewu. On nie myśli o ukaraniu błędu dziecka, tylko dogadza chwilowemu popędowi!

drugich. Co widząc nauczycielka, zawołała ją do katedry, kazała usiąść przy sobie i szepnęła jej zcicha: „Później się rozmówimy!” Jakoż, po skończonej lekcji pochwaliła pilność i uwagę jednych, drugie zachęciła do naśladowania ich przykładu, a małej figlarce bez uniesienia lecz stanowczo zapowiedziała: iż ponieważ nie umie zachować się jak należy, przeto nie może jeszcze liczyć się do rzędu uczennic; jutro więc za karę niewolno jej przyjść do szkoły.

A to ją ukarała! powie niejeden; czyż to każde dziecko nie woli siedzieć w domu niż w szkole? Możebym i ja niegdyś tak powiedziała, lecz dziś, nauczona doświadczeniem, jak wiele ambycją zrobić można, powiem tylko: iż owa dziewczynka zbyt wesoła przed chwilą, takim na tę wieść zanosła się płaczem, tak desperowała i obiecywała poprawę, że cała klasa, przekonana o szczerości jej żalu, prosiła, by jej przebaczyć, co naturalnie nastąpiło. A jakaż była pociecha nauczycielki, gdy owa niesforna uczennica stała się odtąd uważną, spokojną, coraz pilniejszą, a wreszcie wzorową. Ileż jeszcze podobnych przykładów mogłabym przytoczyć! (Przyp. Tłum.)

Wzburzony tym obstawaniem żony mojej przy swoim, a czując poniekąd, że ma słusność, usiłowałem wszakże jeszcze jej zaprzeczać.

— Napróżno próbujesz mię przekonać, mówiła z wzrastającym wzruszeniem, które zdawało się pochodzić z jakiegoś tajemniczego źródła. Ja nie zastanawiam się tak bardzo nad tym przedmiotem; lecz głębokie, serdeczne uczucie, nauczyło mnie więcej niż wasze długie rozprawy. Bo pomyśl sam: Jest prawo, wzbraniające bić zwierzęta; czyż więc tam, gdzie niewolno psa uderzyć, miałyby być dozwolonym bić dzieci?! O! posłuchaj, posłuchaj! — wołała, pozwalając wreszcie wybuchnąć tej tak długo wzbierającej a tajonej boleści.... Twoje przekonanie zanadto mnie boli.... i ono to odbiera mi moją tajemnicę!... Powiem ci więc wszystko, bo inaczej nie potrafię cię przekonać!

Tu zatrzymała się chwilę, jakby pokonana wewnętrzną walką; lecz wkrótce przemogła ją i odezwała się drżącym głosem, który napróżno usiłowała spokojnym uczynić:

— Miałam dwu braci. Jeśli gwałtowność mego ojca względem mnie była przypadkową, to względem synów stanowiła zasadę. Popędliwy z natury, dla synów był srogi z przekonania. Pod pozorem, iż chłopcy powinni być wychowywani suro-

wo, on obchodził się ze swoimi po grubijańsku. Brat mój młodszy, w dwunastym roku życia dostał suchot i umarł w Bonnes, gdzie był wysłany na kuracyją. Czy wiesz, jaka była ostatnia jego wola, a raczej ostatnie jego słowa? Oto zabronił ojcu pokazać się sobie na oczy. „Niech tu nie wchodzi! — zawołał, dowiedziawszy się, że ojciec przyjechał, — nie chcę go widzieć! On mnie zanadto poniżał! on mi zanadto dokuczył!.. ja chcę umrzeć spokojnie!... niech tu nie wchodzi!!....”

Na te słowa zadrżałem mimowolnie.

— Poczekaj! poczekaj! — wołała żona moja z jakąś mocą gorączkową, — jeszcze nie wszystko! Znasz drugiego brata, oficera marynarki. Pewnego dnia... pewnego dnia, mając już lat ośmnaście, wszedł do naszego pokoju blady i prawie nieprzytomny ze wzruszenia.

— Matko, powiedział do biednej, przerażonej kobiety, — ojciec mnie wybił! Idź mu powiedz matko, żeby się nie ważył drugi raz tego zrobić, bo ja mu oddam!

— On to powiedział! zawołałem.

— Nie byłby może tego zrobił, lecz pomyśl, wśród jakiej trwogi i okropności schodziły odtąd dni nasze? Teraz wiesz, co spowodowało moje oburzenie, przeciw tak zwanym napomnieniom rodzi-

cielskim. O! wierzaj mi przyjacielu! Ufaj sercu córki, siostry i matki! Nie tak należy wychowywać ludzkie istoty! Jeśli ze złości uderzysz dziecko, tracisz twoją wyższość nad nim; bo tylko spokojną powagą zapewnić sobie można panowanie nad drugimi. Jeśli go bijesz z zimną rozwagą, stosownie do ułożonego planu, wtedy, użycie tego grubijańskiego środka osłabia lub niweczy wpływ twój moralny, udaremnia wszelkie uwagi i rozumowania. Takie postępowanie nie może nazwać się wychowywaniem. Z dzieckiem przyzwyczajonym do bicia, trudno już innym środkiem poradzić.

Po tych wyrazach umilkła, i bez sił prawie usiadła na krześle. Pobiegłem do niej przerażony i pełen wyrzutu.

— To nic, to nic — mówiła uśmiechając się, — tylko widać zbyt jeszcze osłabioną jestem. Doktor złajałby mię za tę gorącą rozprawę. Lecz, gdyby mi ją przyszło nawet odchorować, żałować tego nie będę, jeśli cię przekonać potrafiła.

Na co ja, fałszywy wstyd pokonywając, odpowiedziałem:

— Dziękuję ci i proszę o przebaczenie. Dałem ci zły przykład, a ty mnie pożyteczną przestrożę; będę ją pamiętał. Odtąd w twoim dziecku szanować będę moje.

II.

Od tej chwili upłynęło kilka miesięcy... Jam zastanawiał się, rozważał, badał; i z dniem każdym przekonywałem się więcej, iż moja żona miała słuszność. Kobiety w kwestyjach uczuciowych miewają pewną przenikliwość, trafność, pewną siłę przekonywającą, która im daje przewagę nad ciężkim, metodycznym rozumowaniem mężczyzn. ¹⁾

W kwestyi kary cielesnej, najsprzeczniesze zdania spotykać nam się dają.

Jedni utrzymują, że dziś nikt już dzieci nie bije; inni znów, że trzeba je bić ale umiarkowanie i tylko w celu poprawy. Jest to błąd podwójny. Pominąwszy klasy niższe, rzemieślnicze, w których gwałtowność i grubijaństwo zamieniają często dzieci w nieszczęśliwe ofiary, a ojców w prawdziwych katów — biją jeszcze dzieci w niektórych zakładach edukacyjnych — biją je i nawet bardzo w kółkach tak zwanych klas wyższych.

¹⁾ Może to kogo zadziwi, że tak przeważny wpływ matce przyznaje? Sądzę jednak, iż poprzednie moje dziełko: „l'Histoire morale des femmes”, zdanie to usprawiedliwi dostatecznie. (Przyp. Aut.)

Życie wspólne z dziećmi, ciągle ich przebywanie w domu, obecność przy stole, ich niesforność, lenistwo, nieposłuszeństwo, nierozsądne pieszczoty, jakich są przedmiotem; nieustanne wdawanie się rodziców w ich nauki i rozrywki—stają się co chwila powodem sporów, wybuchów gniewu, które kończą się zwykle razami, albo co kto lubi, klapsami. ¹⁾

¹⁾ Byłam świadkiem, jak matka rozgniewana zuchwalstwem kilkoletniej dziewczynki, porwała dyscyplinę i biła nią gdzie się zdarzyło; trafiła na usta, i tak je rozcięła, że dziecko krwią się zalało, a znak od przecięcia został na zawsze; czy nie mogłoby się to stać z okiem? — czy i kalectwo nie byłoby możebne? — i cóż wtedy powiedziałyby matka?

Widziałam znów matkę, która za byleco dawała dziecku po rękach tak zwane klapsy, z czym chłopczyk tak się oswoił, że z najlepszą miną odzywał się, że to nic nie boli, a gdy mu poprawiono tak, aż zabolalo, biegł z krzykiem do kąta, obrzucając matkę najrozmaitszymi nazwami, co znów wywoływało karę.

Widziałam ojca, który uniesiony gniewem na służącą, trzymającą właśnie kilkomiesięczne dziecko jego na ręku, przyskoczył do niej by ją uderzyć, a gdy ta cofnęła w tył głowę, raz dostał się dziecku i na miejscu je zabił. Cóż potem działo się w sercu ojca? a było jeszcze syn długo upragniony. O! ileż równie strasznych dzieje się wypadków z powodu niepowściągliwej gwałtowności rodziców.

To znów ojciec przychodzi do śniadania w złym humorze, ponieważ dłużnik nie stawiał się na słowie, nie uiszczył w naznaczonym terminie wypłaty, lub jaka spekulacyja nie dopisała. Niechże w takiej chwili dziecię popełni jakie trzpiotostwo, stłucze filiżankę lub talerz, albo odpowie matce niewłaściwie. Biada mu! ojciec zrywa się z gniewem i uderza bez uwagi biedne dziecko, i ono to płaci za niesłownego dłużnika.

Albo znów: Matka uczy syna. Daje mu naprzykład lecyje muzyki. Dziecię jest roztargnione, albo matka czym zniepokojona. Dajmy na to: nieprzynoszą sukni balowej, albo mąż zrobił wymówkę za zbyt wielki rachunek, podany przez modniarkę. Dziecię gra fałszywie; biada palcom jego! Widziałem matki z całym poświęceniem oddające się przygotowywaniu dzieci do lekcyi, które, zniecierpliwione lenistwem dziecka, lub też uniesione zbytęzną chęcią szybkiego postępu tegoż w nauce, biły je nietylko ręką, ale nawet liniją. Niechże rodzice

Dzięki Bogu, te straszne nadzwyczajności rzadko się trafiają, lecz każde nierozsądne uniesienie rodziców, przynosi krzywdę ich powadze, a często i na charakter dziecka bardzo niekorzystnie oddziaływa.

będą gwałtowni, to podobna kara może grozić życiu dziecka, bo gniew nie mierzy razów. Wreszcie, jakiegokolwiek one będą: lekkie lub silne, zawsze są szkodliwe, bo osłabiają powagę ojcowską w oczach syna.

Co się zaś tyczy tak zwanej zasady: napomnienia rodzicielskiego, to ono wymaga od karzącego takiej bezstronności, takiej bezwzględnej sprawiedliwości, takiego umiarkowania, jakich ojciec nikomu nieprzyznaje prócz sobie; gdy tymczasem on właśnie mniej do tego zdolnym jest od wszystkich obcych, jako osoba najbardziej tu interesowana. Wreszcie, mówiąc krótko, kara cielesna nie jest już dziś na czasie. Jestto zabytek z owej epoki barbarzyńskiej, kiedy poprawiano żołnierzy bijąc ich szablą, marynarzy pletniami, dzieci różgami lub linijami, służących kijami, chłopów kopano nogami, a czasem kobiety nawet bito szpicrutą! Wszak czytamy w Saint-Seinorie, że syn Ludwika XIV-go był razu jednego tak obity przez uczonego Montausiera w obecności świętobliwego Bossueta, iż nie mógł utrzymać pióra w małych swych palcach, popuchłych i posinionych od bicia.

Odrzućmy więc wszystko, co stanowi tę obmierzoną zasadę, bo ona poniżej więcej tych, co się jej trzymają, niż tych, którzy znosić muszą jej następ-

stwa. Dziś inna atmosfera nas otacza. W innym niejako żyjemy świecie. Nie chcemy teroryzmu względem dzieci, podobnie jak nie chcemy go w rządzeniu ludźmi dojrzałymi. Powiedzą nam może, iż są natury tak przewrotne, że tylko srogością zwalczyć je można. Przypomną nam może ów krwawy pożar z wyspy Lewantu¹⁾. Lecz odpowiedź mamy gotową! W tej samej chwili, kiedy mali nędznicy zgrozą nas przejmuja, spełniając okrucieństwa niepojęte, nieznanne w naszych czasach: inne znów dzieci, tego samego co tamte wieku, również jak tamte, za karę zamieszkujące dom poprawy; okupują nietylko błąd swój własny, ale może i zbrodnię towarzyszków swoich, występując w pewnej klęsce publicznej, jako ofiary i wybawcy. Trzymiesiące temu, w Touraine, podczas strasznego wylewu rzeki, kto najwięcej przyczynił się do ocalenia miasta Tours, jeśli nie mali koloniści z Mettray?

Grobla, która broniła miasto od zalewu, na dwumilowej przestrzeni została zagrożoną. Na tę wieść przerażającą, wszyscy wieśniacy z całej okolicy

¹⁾ Gdzie miała miejsce straszna zbrodnia, spełniona na małych więźniach, spalonych żywcem przez swoich towarzyszków.

pouciekali. Na kilka mil wokoło nie było nikogo prócz inżyniera, wyższego oficera i kilku robotników. W tym zjawiają się koloniści z Mettray i przez 12 godzin w nocy, przy świetle pochodni, wśród ulewnej deszczu, walczą wyteżonymi siłami z wylewem rzeki i odnoszą zwycięstwo, zasługując słusznie, by—jak to miało miejsce w roku 1856, miasto Tours kazało wybić na ich cześć medal z napisem: „Osadzie Mettray wdzięczne miasto Tours”.

Lecz to nie wszystko! U nich poświęcenie się nie jest wyjątkiem, a raczej zwyczajem. Niech tylko pożar wybuchnie w tej przestrzeni trzechmilowej—najpierwszą straż ogniową stanowią mali koloniści z Mettray! Jakim sposobem, spytacie, przemieniono tych małych złodziejów w bohaterów? Może postrachem lub karą cielesną? Nie. Dokonała tego praca i rozbudzona ambicyja. Od lat 30-tu żadnego z trzech tysięcy uwięzionych nie uderzono ani razu! Jedyłą karą jest areszt, lecz nie—złe mówię; obwinionemu niewolno spieszyć z pomocą w czasie pożaru. Czyż więc wtedy, kiedy założyciel tej kolonii ma władzę powstrzymać temi środkami całą hordeę dzieci przebiegłych, rozpróżniaczonych, opuszczonych przez rodziców, bez nauki i religii—my, którzy mamy względem naszych dzieci wszystkie środki, jakie nam dyktuje miłość i przezorność

rodzicielska — mieliżbyśmy potrzebować siły fizycznej do kierowania ich wychowaniem?.... Serce mi się wzdryga na tę myśl bolesną. Lecz nie. Jeśli chcecie być godnemi wychowywania ludzkich istot, nie należy znęcać się nad ciałem, by władać duszą. Ale raczej oddziaływać na duszę, by zapanować nad ciałem! Należy ducha podnosić, a nie poniżać. Trzeba szukać kary moralnej, by nią zaszczipiać moralność!.... A przedewszystkim pamiętać wypada, iż najpierwszą zasadą XIX-go wieku jest: „Jeśli chcesz, żeby ciebie szanowano, szanuj drugich”.

O KSZTAŁCENIU SUMIENIA.

I.

Dziś rano, czytając jedną z powieści Dickensa— znalazłem w niej wyborny ustęp. Jest tam mowa o panu Dombey ojcu—skąpym i nieużyтым spekulancie—który wszystkie swe dumne nadzieje, całą radość serca — w tych dwu mieści wyrazach: „*Dombey i Syn*“. Bo trzeba dodać, że ten ojciec ma syna, sześciolatniego chłopczyka. Otóż dnia jednego, przyszedł do pana Dombey młody człowiek, nazwiskiem Walter, który potrzebował 300-u liwrów—dla wyswobodzenia wuja swego, z bardzo krytycznego położenia. Młodzieniec mówił z uczuciem—łzy nawet przerywały jego opowiadanie. Pan Dombey słuchał. W tym, obrócił się do małego synka, siedzącego w kącie pokoju i zawołał:

— Pawełku! chodźno tutaj....

Dziecię przybiegło—a ojciec wziął je na kolana i powiedział:

— Uważajno Pawełku! Gdybyś miał teraz pieniądze, co byś z niemi zrobił?...

— Oddałbym je Walterowi, dla jego biednego starego wuja,—odpowiedziało dziecię.

— Chcesz powiedzieć,—poprawił ojciec— iż pożyczylbyś je Walterowi. A więc, jak urośniesz, to podzielimy się majątkiem i będziemy wspólnie go używać... rozumiesz kochanku?...

— Jak będziemy *Dombey i Syn*?—zapytał malec wyrazami, które często słyszał.

— Tak—jak będziemy „*Dombey i Syn*“. A możebyś już teraz chciał być: *Dombey i Syn*, żeby pożyczyć pieniędzy Walterowi?...

— O! tak, mój ojczy, jabym się bardzo cieszył... a i moja siostra także!....

— Dziewczynka nie należy do spółki „*Dombey i Syn*“—pytam się tylko, czy tobie zrobiłoby to przyjemność?

— O! wielką, mój ojczy!

— A więc, niech ci się zdaje mój synu, że już masz pieniądze—a ktoś chce od ciebie pożyczyć. Naprzykład: młody Walter z daleka w tym celu, do ciebie przyjechał. On potrzebuje pieniędzy—a ty, który już niby jesteś duży i szlachetny, zupełnie bezinteresownie, chcesz mu ich pożyczyć....

Dziecię, skoczyło z radości— a pan Dombey ojciec, zwrócił się do Waltera, mówiąc:

— Oto jest weksel na 300 liwrów. Pamiętaj pan, że to pan Paweł Dombey mu daje.

Walter chciał dziękować, lecz Dombey nie pozwolił.

— Powiedziałem panu,—zawołał,— że to wszystko robi p. Paweł; któremu ja całą rzecz wyjaśniłem— a on ją zrozumiał. To dosyć— weź pan pieniądze— i nie ma już o czym mówić.

Skończyłem czytanie. I właśnie rozmyślałem nad tą szczególną historją; gdzie obok wybitnej cechy charakteru spekulanta, mieściło się tyle nauki. Zastanawiałem się nad ową dziecinną spółką małego syna z domem handlowym ojca, nad myślą ukrytą, jaką miał skąpy ojciec w budzeniu wspałałomyślnych uczuć w synu. Nad tą rozrzewniającą chęcią zjednania przychylności dla dziecka; jemu przekazując zasługę spełnionego czynu. Powtarzałem sobie z uśmiechem, to wyborne wyrażenie: wyjaśniłem mu o co rzecz idzie— a on ją zrozumiał. W tym — nadszedł list z Marsylii, który mi nastreczył sposobność— korzystania z powieści Dikensa— i na wzór p. Dombey, zwrócenia się do mego syna z zapytaniem: Cobys ty zrobił? mój synu.

Byłto list—od jednego z moich szkolnych kolegów, mieszkającego na prowincyi. Prosił on mnie o pożyczanie dość znacznej kwoty pieniędzy. Prosił bardzo uprzejmie—lecz z godnością; bo jestto człowiek zacny, uprzejmy, przyjacielski. Kolegowaliśmy z sobą w szkołach—a później, ile razyśmy się spotkali, zawsze witaliśmy się serdecznie. Ostatnią nawet razą, wśród wynurzeń życzliwości, ofiarowałem mu moje usługi, jeśliby ich kiedy potrzebował, co mnie zobowiązuje niejako w tej chwili. Tymczasem — nietylko ze względów pieniężnych; ale nawet z innej przyczyny, dziś—byłoby to z mej strony prawdziwą ofiarą. Mam bowiem ważny powód do niechęci względem piszącego. Obudził on podejrzenie, które mnie—w bardzo kłopotliwym stawia położeniu. Lecz muszę pomówić w tym względzie, z moim małym Dombey.

II.

Wszedłem do pokoju mego syna z listem w ręku. Przeczytałem mu go, nic wpierrw nie mówiąc. List go wzruszył—a na zapytanie: Cobys zrobił w moim miejscu? odpowiedział z pośpiechem—jak mały Pawełek:

— Jabym pożyczył.

— Poczekaj! poczekaj!—zawołałem,—nie wiesz jeszcze, że właśnie taką sumę odłożyłem na naszą wycieczkę w Pireneje. Jeżeli ją pożyczę—to już po naszej podróży.

— A to dla czego? mój ojciec. Przecież ta suma nie zginie—wszak ją tylko pożyczysz—a przyjaciel obiecuje oddać za miesiąc.

— Pożyczając, moje dziecko, trzeba zawsze przypuszczać, że się daje—zwłaszcza, że to przypuszczenie często się sprawdza....

— Jaktó!—więc ci co pożyczają nie zawsze oddają?

— Niestety, nie zawsze—odpowiedziałem śmiejąc się. Lecz nie można każdego obwiniać z tego powodu. Często dzieje się to mimo naszej woli. Pożyczamy z najszczerzą chęcią oddania—z zupełnym przekonaniem, że będziemy mogli oddać. Wierzymy w przyszłość z równą siłą jak w chwilę obecną. Tymczasem położenie staje się trudniejsze—niżeśmy się spodziewali; wreszcie przekonujemy się: że danego słowa dotrzymać nie możemy. Zawierzono nam, pożyczając, ufano, gdyśmy użytkowali z cudzej własności, a mimo to nie oddajemy; bo nieprzewidziane okoliczności czynią to niepodobieństwem. Lepiej się więc nie łudzić—

i albo nie dać — żądanej summy — albo też dać — ale wyrzec się podróży. Lecz cóżbys ty zrobił?...

Chłopczyna — zawahał się chwilkę — odczytał list raz jeszcze — i powiedział:

— Ten biedny człowiek zdaje się być tak uczciwy.... Jabym mu pożyczył.

— Posłuchaj jeszcze; może on nie taki uczciwy — jak się tobie wydaje. Ja mam żal do niego — i jak sądzę słuszny. Ten mój kolega ma zwyczaj żartować ze wszystkiego. Otóż powiedziano mi, że mówił raz o mnie w sposób ubliżający; że nawet ostatnią naszą rozmowę — podczas której, ja — uniesiony życzliwością, wynurzyłem mu moją gotowość dla niego, on w żart obrócił.

— O! w takim razie — nicbym mu nie pożyczył! zawołał malec.

— Pozwólno jeszcze! Jeżeli rzeczywiście udawał tak niegodnie — jeżeli drwinami znieważył najświętsze uczucie na świecie, uczucie szczerzej i głębokiej przyjaźni; to pożyczyć mu dziś żądane pieniądze — byłoby to niejako — wynagrodzić go za jego obłudę; a siebie wystawić na głupca — czego sobie wcale nie życzę. Lecz doświadczenie mię nauczyło — jak i ciebie później nauczy, drogi mój synu: jakim to zmianom uledez może wyrażenie, przez kilka osób powtórzone. Chwytają słowa — a pomi-

jają powody, które je wywołały; sposób, w jaki te słowa wymówione były; okoliczności, które im towarzyszyły. Ze zdaniem powtórzonym dosłownie, dzieje się niekiedy to, co z obrazem przewieszonym: nic się w nim nie zmienia—tylko światło z innej pada strony.... i to psuje wszystko. Kto wie,—może ta pozorna zniewaga przyjaźni, była tylko jednym z tych żartów, pod którym chcemy ukryć istotne myśli?.... Cóż ja mam zrobić?.... Co byś ty zrobił, mój synu?

Dziecko—naprawdę się zakłopotało. Lecz po chwili milczenia—gdym kilka razy powtórzył:—Cobys ty zrobił?—odpowiedział mi lękliwie:

— Ja—napisałbym do mego przyjaciela i zapytałbym go — czy to — o co go oskarżają, jest prawdą.

Ten niespodziewany pomysł—ta odezwa niewątpliwie szczerą—godną była niewinnej dziecięcej duszy. Usłuchałem też rady—i oto—com napisał;

„Kochany przyjacielu—albo panie! Proszę samemu wybrać—jedno z tych wyrażień. W dniu—kiedym odebrał pańską odezwę, o pożyczenie pieniędzy; doniesiono mi także wyrazy złośliwe, jakimi się pan—już po naszym ostatnim spotkaniu, mówiąc o mnie—wyraziłeś. Posyłam panu weksel

na sumnę żadaną. Jeśli go pan zatrzymasz—to będzie dowodem—że pana oczerniono.“

Próba się udała. Zwrócono mi weksel—z temi słowami:

„Powiedziano panu prawdę; lecz niech mi wolno będzie wyznać: że postępek pański przejął mnie do głębi serca. Odbierz pan weksel—ale wróć mi swoją przyjaźń.“

Odpisałem—prosząc usilnie—o przyjęcie pierwszego—i drugiej; lecz weksel raz jeszcze powrócił do mnie, z temi znów słowy:

„Przyjmując pierwszy—byłbym niegodzien drugiej.“

I miał słusność. Więcej też nie nalegałem. Ale postanowiłem: że pierwsza moja podróż będzie do niego; by mu podać rękę—i przedstawić mego małego doradcę. A nie przebaczyłbym sobie nigdy—jeśli raz jeszcze odrzucił moją ofiarę.

III.

Przed dwoma laty—kiedy zdrowie mojej żony, pozwalało nam jeszcze razem odbywać małe wycieczki—zawsze wtedy rozmawialiśmy o naszym dziecku. Ale przedmiotu naszej rozmowy nie sta-

nowiło—śmieszne podług mnie, wyliczanie zalet lub dowcipów naszego syna—lecz badanie i zastanawianie się nad jego skłonnościami i wewnętrznym usposobieniem. Bo przede wszystkim, pragnąc wychować dziecko, należy starać się—poznać jego charakter—a nie trudniejszego, jak odróżnić w tych naturach nieustalonych—chwiejnych, że tak powiem, owe prawdziwe przymioty, na których możnaby się opierać.

Dnia jednego, po długiej rozmowie, kiedyśmy szczerze zgłębiali owe tajniki nieznane, znajdujące się w sercu każdego dziecka—moja żona tak się odezwała:

— Syn nasz, ma jedną wielką zaletę—to jest; w charakterze jego przebija się już sumiennosc. Nie uśmiechaj się—to rzadki przymiot w jego wieku. Nie powiem, żeby wszystkie dzieci miały żyłkę przywłaszczania sobie rzeczy nie swoich; lecz mało które ma poczucie cudzej własności—a nasz syn je ma. Tego mi czynem dowiodł—kiedy jeszcze bardzo był nieduży.

— Cóżto za pamiętny czyn? moja drogo,—zapytałem śmiejąc się.

— Zaraz ci go opowiem: byłoto pięknego dnia w jesieni—siedziałeś w ogrodzie na ocienionej ławeczce—i trzymałeś w ręce śliczne winne grono.

Skoroś nas zobaczył nadchodzących—mnie z naszym synem, zamknąłeś oczy, udając, że śpisz. Odgadłam myśl twoję; bo rodzice są przyzwyczajeni do tych małych komedyi—jakie nieraz odgrywają—udając zwiedzionych—lub zwodzących—choć naprawdę nikt zwiedzionym nie jest. Domysliłam się, że chcesz pokusić syna—obudzić w nim chętkę, by—korzystając z twego uspienia—wziął winne grono. Sama więc popchnęłam go z lekka ku tobie, mówiąc po cichutku: „Idź... i weź ojcu winogrono.“ On—zawachał się chwilę, przytulił do mnie główkę lekliwie—w tym—jakby się zdecydował—odwrócił się nagle—i postąpił śmiało ku ławce; a stanąwszy przed tobą, wyciągnął małą rączynę aż do grona?... nie!... myślę się... aż do twojej twarzy.... Otworzył ci paluszkami oba oczy— a gdyś spojrział na niego— a on się przekonał— że nie śpisz—schwytał śmiejąc się winne grono—i podbiegł ku mnie, by je zjeść.

— Prawda!—zawołałem --przypominam to sobie.

— A więc, mój przyjacielu, mówiła dalej moja żona, ten postępek chłopczyny, zwiastuje budzące się w nim sumienie, które nam kształcić wypada. Niech cię nie zadziwia to wyrażenie. Sumienie— podobnie jak zdolności umysłowe—wymaga ćwiczenia. Kształcąc sumienie—dajemy mu pogląd

właściwy; to jest: za jego pośrednictwem, uczymy się sprawiedliwie sądzić, a tym samym głosu jego słuchać. Często bowiem w życiu naszym—źle postępujemy dla tego tylko—że nie widzimy jasno, co jest dobre;—alboteż, obalamuceni pewnemi sofistematami—sami, to dobre, niejasnym czynimy. Bo gdyby ono zawsze—w całym swym blasku stało przed nami to niezawodnie—już samą pięknością—by nas przyciągało. Kształćmy więc sumienie naszego syna.

Rozsądne te uwagi mojej żony, często przychodziły mi na myśl. A teraz, gdy ta wielka już wówczas osoba, syn nasz, doszedł szanownych lat dziesięciu—nieraz idę do śniadania z nową jaką kwestyją sumienia, którą pod sąd jego poddaję—a „cobyś zrobił?“ Dickens, ważną zawsze odgrywa tu rolę. Wczorajsza kwestyja—nabawiła malca wielkiego kłopotu. Nadeszłe dzienniki, zwróciły naszą rozmowę na papiery publiczne. Mówiono że gra na giełdzie jest teraz bardzo niebezpieczna; bo papiery podnoszą się i znów spadają. Ja starałem się tłumaczyć mojemu synowi to wszystko jak najjaśniej. A to tłumaczenie, ważności gry tego rodzaju dla sprawy publicznej, przywiodło mi na pamięć przykład surowej uczciwości; co znowu—nastręczyło nam najdelikatniejszą kwestyją sumienia.

— Dnia pewnego,—mówiłem—słynny angielski mąż stanu, powziął ważną polityczną wiadomość, która mogła wpłynąć na znaczne obniżenie papierów publicznych. W kilka minut po tej nowinie, przyszedł do niego ojciec—i uwiadomił go, że został wezwany na spółnika—w pewnej spekulacji pieniężnej—i że ryzykował w tym interesie znaczną część ich majątku;—a przestraszony wieścią, jaka krążyć zaczyna, przychodzi dowiedzieć się od syna prawdy; ażeby mógł coprędzej odprzedać komu swoje prawa, jeśliby wieść krążąca—była uzasadnioną.

— Co syn ma zrobić?—spytałem.

— Powinien mu powiedzieć: sprzedaj ojczyznę natychmiast!—zawołał chłopiec.

— Zastanów się dobrze. Najpierw—ta wieść, była tajemnicą—tajemnicą, o której syn wiedział tylko, jako minister. Tajemnicą—jaką dochować, z urzędu, przysięgą był związany. Odkryć ją, jest to przeniwierzyć się—czyli zdradzić zaufanie, jakie w nim, jako w mężu stanu położono. Jestto zdradzić interes publiczny, dla sprawy prywatnej.

— Ale dla ocalenia ojca!

— Tak — lecz ocalając ojca, musi zgubić kogo innego.

— Jakto?

— Jeżeli ojciec jego sprzeda swoje papiery, to wszak musi je ktoś nabyć. Ten ktoś—nabędzie za cenę dotychczasowej wartości—której one już nie mają, skoro spaść muszą; o czym ojciec wiedziałby naprzód. Takim sposobem, oszukaństwo byłoby rozmyślnie—za co, podług prawa—kara nastąpić powinna. Minister więc, ten mąż stanu—wydający ojcu tajemnicę—zostałby kary godnym przestępcą.

— A więc?...—zapytał pomieszany chłopczyna—cóż on zrobił?

— Powiedział ojcu, że mu żadnego objaśnienia dać nie może.

— A ojciec co zrobił?

— Nie sprzedał, tylko stracił... i to znaczną summę—a raczej oba stracili; bo syn—był jego jedynym spadkobiercą.

Dziecię zamilkło na chwilę, potym odezwało się znowu:

— To dobrze zrobił.

— To mało powiedzieć dobrze, mój synu; bo to godne uwielbienia. To był czyn tak rzadki!....

Opowiadanie to—wielkie na chłopcu zrobiło wrażenie. Nauka oddziaływała—owoce też z niej—będą niewątpliwe.

IV.

Nie ustaję w rozpoczętych ćwiczeniach sumienia—i z radością widzę postępy—tego młodego serca.

Dzieci dobre z natury, wychowywane w zasadach uczciwości, dochodzą mimowolnie do tej niezłomnej prawości, którą za ledwie zna cnota. Nic ich nie mięsza—nie z drogi prawej nie sprowadza. Wolni są jeszcze od stosunków z ludźmi i okolicznościami różnego rodzaju. Nieświadomi wszystkiego, co obłudą, co udaniem się zowie. Dalecy od podejrzeń i przebiegłości—niezachwianie więc obstają przy tym, co jest prawdą; niedłatego, że to jest słuszne, rozumne; lecz jeśli wolno się tak wyrazić:—ślepo bezwiednie, dla tego, że innego postępowania nie pojmują. Probuje ja niekiedy uwodzić syna mego, sofizmatami. Skrupuły jego instynktowe zbijam niby rozumowaniem, które nachyłam umyślnie do okoliczności. Przystaję na co pozornie. Czynię ustępstwa, nieraz rzeczywiście nieuniknione w życiu i t. p. Wtedy—przywodzę go do milczenia, ale bynajmniej nie trafiam do jego przekonania. Bo skoro, po długich rozumowaniach, nalegam, by ostatecznie wyrzekł swoje zda-

nie—mały ten dźwięczny głosik—brzmi najwyraźniej tak samo, jak przy rozpoczęciu dysputy. On zna tylko jedną—jedyną piosenkę: sprawiedliwość i prawdę. Jest on jakby instrumentem, którego odstroić niepodobna; jakby dyapazonem, który za lada dotknięciem wydaje dźwięk właściwy, pokazując ci najwyraźniej—że fałszywy ton uderzasz. I ta myśl zajmuje mnie bezustannie: iż, gdybym zbłądził kiedy, miałbym w synu moim surowego sędziego. A więc—jak mówi pospolite wyrażenie: trzeba się mieć na baczności!

V.

Spodziewam się powodzenia—a zarazem przyjemności. Powodzenia, dogadzającego wprawdzie tylko mojej miłości własnej—przyjemności, schlebającej, nieprzeczę, mojej próżności; mimoto—przywiązuję tu do tego wielką wagę; bo i serce ma w tym również swój udział.... Oto—oznajmiono mi, że mam order otrzymać....

Naśmiewałem się ja nieraz z tej dziwnej słabości niektórych ludzi, ubiegania się o kawałek wstążeczki czerwonej, niebieskiej lub zielonej. Dziś jednak—gdy o mnie idzie, już mi się to nie wy-

daje tak śmiesznym. Najpierw—że order jest oznaką zasługi, dalej—nieraz staje się nam użytecznym, zwłaszcza w podróży. Ta czerwona wstążeczka przy pętlicy, pobudza wszystkich do grzeszności względem nas, a niekiedy nawet do uszanowania. Jeden z moich przyjaciół opowiadał: iż przechodząc raz ulicą, spostrzegł człowieka niemiłosiernie bijącego małego chłopca. Pragnąc go obronić—zbliżył się do malca; gdy w tym, człowiek bijący; tak nagle i z taką gwałtownością zwrócił się ku przybyłemu, iż zdawało się, że go najokropniej zbije; tymczasem.... na widok czerwonej wstążeczki, cofnął się—i stanął jak wryty. Wziął on przyjaciela mego za oficera—a dużo jest ludzi, dla których, każdy wojskowy jest powagą.... Lecz — wracając do orderu, wyznam szczerze, iż go pragnę—ponieważ wszyscy moi go pragną;—bo on ucieszy moją żonę:—a syn mój—dumnym będzie—tym ojca zaszczytem.... Już słyszę ten jego krzyk radosny, gdy mnie ujrzy wchodzącego do pokoju ze wstążeczką w guziku,... Porzucmy więc skrupuły; bo nie należy za czczą drobnostkę uważać tego, co tyle radości sprawić może sercom ukochanych!,...

Jednakże napotykam pewne trudności w tym względzie. Bo choć dwie znaczne urzędowe figury

popierają moją sprawę—a minister uznaje moje zasługi; mimoto naczelnik jego kancelaryi jest mi nieprzychylny. Jestto wprawdzie człowiek—mało bardzo zasługujący na szacunek; który przede wszystkim swój interes ma na względzie.... Nie raz on już zmieniał swoje zdanie trzy lub cztery razy, stosownie do tego, co więcej ambicyi jego dogadzało;—a nawet pozwolił sobie raz, jak powiadają, będąc prefektem, zarządzającym powiatem, sfałszować pewien urzędowy dokument, co surowo potępia jego uczciwość. I ja sam—niezbyt dawno, w jednym z pism publicznych schłostałem niemiłosiernie zmienność interesowną jego zdania—i wątpliwą prawość charakteru—o czym on wie niezawodnie. A niejestto wcale człowiek, coby umiał zapomnieć lub przebaczyć. Co więcej;—nie słaba to głowa—przytym zręczny, przebiegły—ma dar wypisania się, a to wszystko nadaje mu wielką przewagę nad ministrem. Niebezpieczny to dla mnie przeciwnik....

VI.

Nie omyliły mię domysły. Przyjaciele moi donoszą, iż skoro nazwisko moje wymieniono w obec

pana Loriol, on za całą odpowiedź, uśmiechnął się z lekką ironią, co nie zapowiada mi nic dobrego. Łają mię też bardzo, za ów artykuł satyryczny.... Otóż pokazuje się, lepiej czasem milczeć!.... Ha—cóż robić?... Stało się!... Ale—bo—najstraszniejszą niewolą:—jest niewola myśli. Poddać się jej dobrowolnie z powodu obawy lub miłości własnej.... Przyłożyć sobie niejako pieczęć na usta, aby zapobiedz wypowiedzeniu użytecznej prawdy; to zaprzedać się w pewnym względzie. Porzućmy więc niegodne nas żale! Co mi tam!... Czy mam order lub nie—to mi wszystko jedno.... Przeżyłem bez niego lat trzydzieści.... To i teraz nie dbam o niego!... Ale nie... po co się zapierać?... Jabym go chciał otrzymać!... To szczególna!... Nie sądziłbym nigdy, że człowiek poważny, może przywiązywać tyle wartości do takiej drobnostki.

O—teraz pojmuje wszystkie intrygi, jakim nie chciałem dawniej wierzyć; wszystkie te błahostki, które mnie dziwiły i oburzały, a których powodem miały być ordery... Nietrzeba więc nigdy zbyt spieszenie potępiać próżności drugich!... I najzaniejszy człowiek ma jej pewną dozę—i nie łatwo się jej pozbyć... Ja pragnę orderu!...

VII.

Dziwnie się uprzedzamy niekiedy!. Przypadek sprowadził mi wczoraj wizytę, której się wcale nie spodziewałem. Sąsiadem moim wiejskim, jest jeden z najstarszych członków naszej rady ogólnej. Żyję z nim w bliskich, prawie przyjacielskich stosunkach. Otóż wczoraj—przywiózł mi on jednego ze swoich gości, którego—jak się wyraził:—chciał ufetować mojami krzewami róż, mieczyków i t. p. Kwiaty—stanowią rzeczywiście największą moją przyjemność. Zgromadzam je i pielęgnuję z upodobaniem. Chlubię się niemi chętnie, jestto moja słabość. Otóż—rad ze sposobności, rokoszuję się właśnie miłą o kwiatach rozmową z moim gościem. Uznaję w nim znawcę pełnego gustu i powagi. O tyle cierpliwego w badaniu, o ile ja niezwykajnym byłem w pokazywaniu mu moich zbiorów. Oceniającego wszystko z prawdziwą znajomością rzeczy—ani zanadto—ani zamało. Dorzucającego niekiedy do pochwał—słówko żartobliwej krytyki—ale tak sprawiedliwej, że nią podwyższa tylko ich wartość. Słowem—widzę w nieznanym—człowieka bardzo przyjemnego—pożądanego, jak to mówią w towarzystwie. I naturalnie—chcę wie-

dzieć—kogo mam zaszczyt mieć u siebie? Lecz—jakież było moje zdziwienie! Gdym się dowiedział: że to jest właśnie mój nieprzyjaciel—pan Loriol!... Nigdy nie przypuszczał w nim—ani tej powierchowości—ani tego rozumu. Wymówił swoje nazwisko spokojnie, bez żadnej przesady—i—rzecz szczególna! Choć wierzę—i mam zasadę wierzyć, że wszystko, com o nim napisał—jest prawdą; chociaż wygłosiłem tylko czyn znany, którego nikt nie zaprzeczył, jednakże to ja, w tej chwili byłem pomieszany. Z nas dwu—ja to wyglądałem na nieuczciwego człowieka. Bo muszę mu oddać sprawiedliwość:—wybornie udał;—jakby nic a nic, o owym piśmie nie wiedział... A może też i nie wiedział?... Jakże słabi jesteśmy!... Wszakżeto ja ułożyłem sobie w głowie nadzieję—że ta wizyta przychylniej go dla mnie usposobi.

VIII.

I miałem słuszność. Przyjaciele piszą mi, że widzieli znowu pana Loriol—i wydał im się bardzo ułagodzony względem mnie. Mówiąc o mnie, nie szczędził mi nawet pochwał—moja nominacja zdaje im się być prawie pewną. Co do mnie—po

wszystkim, co się stało, czy mam sobie co do wyrzucenia? Nie—bynajmniej. Przyjaciela jednego z moich przyjaciół, ugościłem różami—w tym nie widzę nic złego.

Dziś rano—przejęty nadzieją powodzenia, nie mogąc oprzeć się chęci przekonania się coby prędzej o ile ta wiadomość pożądana, ucieszy mego syna— a z drugiej znów strony, lękając się, by w razie niepomysłnym dla mnie, zawód nie stał się zbyt dla niego bolesnym; użyłem niewinnego podstępu i podstawilem w moje miejsce imię człowieka, którego on po mnie, najwięcej kocha—a jestto jego ojciec chrzestny—i powiedziałem mu pod wielkim sekretem: „Mówią, że twój chrzestny ojciec, ma order dostać.“—Na tę wiadomość, dziecię wydało okrzyk radości, który mile się odbił w moim sercu; bo cóżto będzie, gdy się dowie—że to o mnie chodzi?

IX.

Otóż i nowa przeszkoda... Pan Loriol podał się jako kandydat na członka rady ogólnej naszego departamentu. Co ja teraz zrobię? Już tu nie idzie o mój głos jedynie; bo znaczna liczba wybor-

ców z całego okręgu—tak jak ja—jest przeciwko niemu. Jednak—za pośrednictwem chrzestnego ojca mego syna, mógłbym mu zjednać z jakie dwadzieścia przychylnych głosów... Cóż mam począć? Wystąpić przeciw wyborowi?... Będzie to czyn wyraźnej nienawiści. Popierać go?... To niepodobna!—Po tym—com napisał—potym, co wiem o tym człowieku—to byłoby nikczemnością. Za nic w świecie popierać go nie będę! Lecz—gdybym się mylił w moich zarzutach przeciw niemu?... Gdybym napadał niesprawiedliwie?... Boć miłość prawdy przechodzi niekiedy w namiętność—a ta nas zaślepia. Przesadzamy nieraz w gorliwości; jako obrońcy sprawiedliwości, polegamy zbyt często na naszym zdaniu, na naszej odwadze—i potępiamy, wygłaszając nasz wyrok ze zbyt nim pośpiechem i gwałtownością. Lecz—dajmy pokój sofizmatom. Miałżebyś tyle skrupułów, gdyby nie chodziło o człowieka, od którego zależy spełnienie moich nadziei? Nie zapewne—a więc—droga jasna przedemną. Gdy interes i sumienie stają do walki—wtedy głos sumienia powinien nam wystarczyć. A sąd jego musi być bezwzględny.

X.

Nowy kłopot.... Nie żądają odemnie, bym popierał kandydaturę p. Loriol—dosyć zatym, jeśli nie będę występował przeciw niemu. Minister przywiązuje wielką wagę do wyboru swego naczelnika kancelaryi. „Wybór jest pewny, gdyby tylko, powiedział on, kilka nieprzychylnych osób, swojemi wpływami nie chciało mu szkodzić... Nie wymagam ja poparcia dodał, od tych, których zdanie różni się z naszym, lecz spodziewam się neutralności...“ To powiedziawszy—nagle—jakby pewien swego, zamilkł. Przerwał rozmowę, nie czyniąc żadnej propozycyi, któraby mogła mieć pozór układu—ani żadnych aluzyi, któreby nosiły cechę pogróżki lub obietnicy; tak, iż przyjaciele moi, zachwyceni byli, tym jego zachowaniem się. Nalegają też oni na mnie, bym się usunął od głosowania; co podług nich, nie obrazi nikogo—a mnie wyprowadzi z kłopotu. „Nie powinienem, mówią mi, poświęcać zasłużonej nagrody, dla jakiegoś urojonego obowiązku, czyli skrupułu sumienia. Tego rodzaju wymówka byłaby donkiszoteryją w ich przekonaniu.“ Te uwagi zachwiały mię—lecz nowe przeszkody występują przeciw p. Loriol. Oto—

ukazał się współzawodnik ze wszech miar godzięć poparcia. Przytym, znaczna liczba wyborców zwraca się do mnie, domagając się mojego zdania o dwu kandydatach, by zgodnie ze mną głosować.... Co tu począć? Najlepiej—porzucić niewczesne skrupuły; wszak przyjaciele moi, nie mniej odemnie dbają o mój honor, oniby mi nie doradzali czynu niegodnego. Wreszcie—o cóż chodzi? wszak mam tylko milczeć! Odpiszę wyborcom, by za położone we mnie zaufanie, nie narazić ich moim milczeniem na odpowiedzialność, a co do mnie żadnego zdania nie objawię.

XI.

Pierwszy raz w życiu—przykre słowo powiedziałem mojemu synowi. Byłoto przy śniadaniu: ja—milczałem, zajęty mimowolnie ową orderową sprawą; gdy ktoś wymówił nazwisko, jego chrześtnego ojca—a malec—z ową właściwą sobie porywczością zawołał:

— A cóż się dzieje z jego orderem?

— Zdaje mi się, że go otrzyma—odpowiedziałem,— bo to od niego tylko zależy.

— Jako od niego?

— Skoro tylko oświadczy się za panem Loriol na radzie głównej—to i rzecz skończona.

— Za panem Loriol!...—krzyknął chłopiec zdziwiony.

— A tak—nie inaczej!

— Mój ojciec chrzestny miałby go popierać?

— Cóż w tym tak dziwnego?

— Mówią—że to nie jest prawy człowiek....

— Mówią... mówią...—zapytałem nie chętnie, a ktoś to powiedział?

— Ależ—mnie się zdaje, że to ty ojcie.

— Ja!...—zawołałem z gniewem... Kiedy—gdzie i jak mogłem to powiedzieć?

— Mnie się zdaje, że mama czytała mi jakiś ojca artykuł o panu Loriol—w którym powiedziano jest, że... pamiętam dobrze... że p. Loriol zmienił raz wyrzeczone zdanie, dla własnego interesu... A czy zmienić zdanie... to nic tak bardzo złego?...

— To źle—bezwątpienia—odpowiedziałem z pewną niechęcią.

— Mnie się zdaje, że tam powiedziane było: jakoby p. Loriol dopuścił się jakiegoś nieuczciwego czynu. Czy to nie bardzo źle być nieuczciwym?

— Złe—niewątpliwie źle... odpowiedziałem z coraz większym niezadowolaniem; lecz—któż cię może zapewnić, że ja nie byłem w błędzie wówczas,

gdym to pisał—jak ty dziś niezawodnie błędzisz—powtarzając. Czyn nieuczciwy!... zmienić swoje zdanie!... A czy ty wiesz przynajmniej, co to jest zdanie?... Mówić o zdaniu w twoim wieku!.... Kiedy dziecko nie rozumie tego—co powtarza, to lepiej, żeby milczało.

Wypowiedziałem to wszystko tak oschłym, cierpkim tonem, iż chłopiec, drżąc cały, odpowiedział:

— Oh! ojcie—nigdyś jeszcze do mnie tak nie mówił.

— Boś mnie zniecierpliwił, pozwalając sobie przyganiać chrzestnemu ojcu!

— O, ja mu ojcie nie przyganiam!... Tylko, że to jego postępowanie przykrość mi zadaje....

Nie chcąc usłyszeć więcej, śpiesznie poszedłem do swego pokoju.

XII.

A tom sobie narobił! Jestem zawstydzony—pomieszany—przejęty aż do głębi duszy. Wyraz twarzy tego dziecka, dźwięk jego głosu, nie dają mi ani chwili spokoju. Co więcej, gdy przed godziną, przyszedł do nas jego ojciec chrzestny, zamiast, jak zwykle, biedz na jego spotkanie z otwartymi

rękami i ustami gotowemi do pocałunku, malec—przyjął go dziwnie poważnym spojrzeniem; pocałował niechętnie, jakby naraz—mniej kochać go zaczął.—Jak to źle!—jaki ja dziwny jestem z tym moim niewczesnym strachem! Wszak postępowanie, jakie przypisałem ojcu chrzestnemu mojego syna, nie jest wcale—moim. Przypuściłem, że on się nie sprzeciwiał, ale owszem popierał wybór p. Loriol. To, byłoby naganne!... Lecz ja—wszak tyłkom mu nie przeszkadzał, milczałem, nic więcej. A milczenie—nie było nigdy występkiem. Wyraźnej decyzji mojej nie wyjaśniłem; teraz dopiero napiszę przyjacielom moim w Paryżu, iż mogą liczyć na to, że ja przeszkadzać nie będę.

XIII.

Napisałem—już tylko podpis trzeba było położyć; gdy syn mój wszedł. Błady—pomieszany, rzucił mi się na szyję wołając:

— Ojcze! ojcze! przebacz mi; bo ja widzę, że się gniewasz.... Jam pewno zawinił—taki malec—jak ja—śmiał potępiać postępowanie człowieka, jakim jest mój chrzestny ojciec! To—co zrobił musi być dobrym, skoro on tak postąpił—a tyś ojcze

potwierdził! Wszak i ty ojciec popierać będziesz p. Loriol.... Tak—trzeba—powinieneś—zrób to dla mnie—mój ojciec!.... Ja proszę—ja chcę—niech to będzie karą dla mnie.

Cóżem miał odpowiedzieć? Jak wyrazić, co się we mnie działo? Umiałem znieść nieme wyrzuty mego dziecka, smutek jego; ale zwodzić go!... powiedzieć mu, że głos jego sumienia był fałszywy; kiedy był słuszny—rozstroić ten czuły dźwięk jego duszy—zniweczyć to piękne poczucie prawości, które najdroższy skarb jego stanowi!... O! to byłoby zbrodnią w moich oczach!

— Nie!—zawołałem, ściskając go z uniesieniem; nie—tyś nie zawinił, mój synu!—a ja p. Loriol popierać nie będę.

— Jaktó! ty ojciec,—zapytał zdziwiony?

— Tak, ja!—bo imię twego chrzestnego ojca, było tylko udaniem. Mnieto miano dać order—to ja miałem go otrzymać wtedy; gdybym popierał wybór p. Loriol—i to jeszcze ja—który, dzięki tobie mój synu, nie zrobię tego, co honor potępia—by otrzymać znak honorowy!

— Lecz—natenczas—odpowie dziecię, nie będziesz go miał ojciec?

— Nie będę—i cóż stąd?

— Tego ja nie rozumiem—ale mi przykro...

— Tym lepiej!—Kiedy nam z trudnością przychodzi spełnić czyn sprawiedliwy, wtedy, spełniając go, podwójną mamy zasługę.

Nie chcąc wszakże okrywać się tylko płaszczkiem uczciwości, zasiągnąłem możliwych wiadomości o p. Loriol. A przekonawszy się że wszystko, com o nim napisał wówczas, było rzetelną prawdą—wystąpiłem jawnie za jego współzawodnikiem—a o p. Loriol powiedziałem, com miał przeciw niemu. On nie został wybranym—a ja—nie otrzymałem orderu—dzięki mojemu małemu Dombey!

KSZTAŁCENIE ODWAGI.

Dnia 1 Marca 1845 r.

Jestżeto prawdą?... Czy mnie w błąd nie wprowadza zbyt wielka gorliwość?... O! nigdy jeszcze nie doznałem podobnego uczucia. On! syn mój!... syn mój jedyny! miałżeby.... Ależ, uspokójmy się!... Ileżto razy, gdy był dziecięciem i zasłabł cokolwiek, już zaraz przewidywałem ważną chorobę, a w chorobie śmierć! Te same przypuszczenia robię i dziś, gdy idzie o słabość duszy. Czyn małej wagi biorę za wielki, przypuszczam, przewiduję.... Lecz, o Boże! gdy ciężka choroba groziła mu śmiercią, straszniejszych boleści niedoznawało serce.... Ale wtedy szło mi o życie, o drogie mi jego życie, a dziś? o! i dziś idzie mi o rzecz równie świętą dla mnie, za którą ja odpowiadać będę—o jego moralną istotę, o jego honor. Czym ja się spodziewałem, że

to dziecię będzie kiedyś tchórzem!... Tchórzem?.... Tchórzostwo to więcej niż lękliwość; to bojaźń, która pozwala znieść obelgę, by uniknąć niebezpieczeństwa—to nikczemność — to występek! Ależ nie... póki ona kryje się w słabym ciele, póki ją zdradza bicie serca, bladość twarzy — póty jest tylko zwyczajną bojaźnią, lękliwością — póty niemożna jej nazwać nikczemnym tchórzostwem. Uspokój się więc biedne ojcowskie serce; spojrzij raczej w głąb' duszy twego dziecięcia, badaj ją z całym spokojem! Lecz niestety!... wszak on już przestał być dzieckiem! A tylko dziecku wolno się lękać i drżyć... Bo ono jeszcze odwagi nie pojmuje, dusza jego niezna wybiegów, siła moralna nie oblicza. A on!... wszak już wyszedł z dzieciństwa, skończył lat 14, wstępuje w wiek młodzieńczy. Sama natura daje tego jawne dowody, zmieniając dźwięk głosu dziecinnego w gruby, ostry, który zwiastuje mężczyznę. Więc ja się nie mylę... Kilka już razy, tak podczas wycieczek naszych konnych, jak i przy nauce pływania i w różnych przygodach małych naszych podróży, słusznie posądzałem go o brak odwagi. Nakoniec wczoraj, przy zachodzie słońca, mnie on nie widział; lecz ja patrzyłem na niego, bo ja czuwam nad nim w każdej chwili; — wczoraj więc, gdy powracał do wsi boczną droży-

ną, zaczepił go obelżywymi wyrazami, a nawet pogroźkami syn dzierżawcy Ormes... A on, zamiast się oburzyć, przeląkł się!... Prawda, że tamten chłopiec o dwa lata starszy od mego syna, że to ladaco, duży i silny jak dąb; że o żadnych uczuciach honoru ani mowy z nim być nie może. Prawda wreszcie, że mój syn nie uciekł przed nim.... Ale to niedosyć! Gdym się im pokazał, twarz jego miała tak dziwny wyraz, że mi się go przeląkł. Ta bladeńść straszna, te usta drżące... o! nigdy nie zapomnę tego widoku!... On mi przypomniał obraz Mulreada, przedstawiający wilka i owieczkę. Dziecko butne, wyzywające — śmiałek, pewien siebie — to był tamten, to był syn chłopca!... A dziecko bojaźliwe, przełękłe, to biedne jagniątko, do drzwi przytulone, ze spuszczoneym łebkiem, czekające wilka lub obelgi: to był mój syn! Mój syn tchórz!... O, biedne stworzenie! co się z nim stanie? Bo tchórzostwo, obmierzłe tchórzostwo, straszniejsze od wszystkich występków; ono wszelkie cnoty zaciera. Poco tchórzowi być dobrym, ludzkim, szlachetnym? Cała ta dobroć, ludzkość, szlachetność znikną przy pierwszej próbie, jak broń z ręki paralizem tkniętej. Niechaj tchórz ujrzy przyjaciela swego w ogniu, pozwoli mu się spalić z pewnością!.. w wodzie — da mu utonąć! Tchórz odstąpi żonę, którą

kocha za pierwszą pogrózką.... Nikczemny tchórz pozwoli zelżyć matkę, wspartą na jego ramieniu. Tchórz nie będzie nigdy godnym ojcem, bratem, mężem, bo on nieumiałby stanąć w obronie swojej żony, ani siostry, ani nawet córki! I to takim miałby być mój syn?.... O! co się ze mną dzieje w tej chwili... Nie jestto oburzenie, gniew, ale dziwne jakieś uczucie litości—bolesna a niewypowiedziana miłość; gdyż ja go kocham, kocham więcej niż kiedykolwiek! Kocham za to wszystko, czego mu nie dostaje—za wszystko, czegośmy dać mu nie mogli! Bo błędy dzieci stanowią częstokroć ich spuściznę po rodzicach. A matka jego była bojaźliwą; po niejto może odziedziczył tę słabość charakteru. A więc potępiam go za cudze winy. I przez całe życie może cierpieć będzie za straszne dziedzictwo, które otrzymał mimo swojej woli i wiedzy!... O! to niepojęte; to zagadka, której rozum mój rozwiązać nie umie. W głowie mi się zawraca, w duszy mej brak pociechy!...

Nazajutrz — dnia 2 Marca.

Otóż lżej mi na sercu. Sen i modlitwa pokrzepiły mię, uspokoiły. Dziś widzę jaśniej... Że się

ułąkł pogroźek dwa dni temu, to nie ulega wątpliwości; lecz do słabości charakteru dziedzicznej, nieuleczonej, chronicznej, to jeszcze daleko. Charakter, tak jak siły fizyczne, rozwija się stopniowo i zapomocą wychowania ulega pożądanym zmianom. Bóg nie dał człowiekowi ani wad nieuleczonych, ani przymiotów doskonałych, — a to właśnie dlatego, abyśmy się starali usunąć pierwsze, a uzupełnić drugie. Wszystkoto ma być dziełem pieczołowitości rodzicielskiej, i dzięki Niebu, wszystko dotąd było moim dziełem. Pomyślmy więc i teraz zastanówmy się bacznie, a nietraćmy głowy:

To dziecko przyszedłszy na świat, miało piersi jeśli nie słabe, to przynajmniej bardzo wrażliwe na każdą zmianę temperatury. Wzmacniałem je świeżym gór powietrzem i uleczyłem zupełnie.

Napady gorączki i uderzenia krwi do głowy, stawiały nieraz życie jego w niebezpieczeństwie. Przez trzy więc lata wozilem go na wybrzeża morskie i wyleczyłem go z tego.

Po mnie odziedziczył on dziwne, nad wiek swój usposobienie do marzeń; stan ten dochodził takiego stopnia, iż w przyszłości mógłby się prawdziwym splenem zakończyć. Strzegłem go więc nieodstępnie, zajmując czynnie każdą godzinę, każdą minutę—i uleczyłem go znowu.

Jeżelim był w stanie tak zmienić usposobienia jego chorobliwe, usunąć skłonność w temperamencie już będącą—dlaczegóżbym niemógł wzmocnić ducha, pokierować sercem? Czyżby słabości ludzkie mocniejsze być miały od samego człowieka? Zgadzam się nato, że cierpienia są nam przeznaczone, ale wierzyć w przeznaczenie upadku moralnego?... — nigdy!

Dnia 6 Stycznia 1847 r.

Dziś rano miałem z synem rozmowę, która mi dała pewną otuchę. Czytałem życie Turenna (a odczytuję nieustannie życiorysy walecznych mężów, zgłębiam ich czyny i chwytam wszelkie odcienie ich odwagi). W tym opisie jeden z ustępów zwrócił szczególnie moją uwagę, i jak błyskawica wśród ciemności, rozjaśnił myśli moje. Biegnę więc co prędzej do pokoju mego syna.

— Posłuchaj—wołam—tego szczególnego zdarzenia!—i czytam co następuje:

„Pewnego poranku, przed bitwą, Turenne jak zwykle przebiegł całą linią bojową, a przekona-

wszy się, że wszystko jest w porządku — dał znak do ataku i w tejże chwili zagrzmiały działa. Lecz na ten odgłos ogarnęła go tak silna trwoga, iż nagle pobladł a nawet cały drzeć zaczął. Byłoto tak widoczne, że zwróciło uwagę otaczających go oficerów. Jakoż, ulegając pierwszemu wrażeniu, zawahał się chwileczkę, co dalej robić; wnet jednak oprzytomniał, i ogarniając cały oddział piorunującym spojrzeniem, zawołał: „A! stary szkielecie, ty drżysz!... poczekaj, zadrżysz lepiej, gdy ujrzysz, gdzie cię poprowadzę!” I rzucając się w stronę, skąd szedł najstraszniejszy ogień, dokazywał cudów waleczności”.

— A to szczególna, ojcze!

— Co ci się tak szczególnym wydaje?

— Jakto, a wszak czytałeś ojcze, że Turenne drżał ze strachu!

— I najzdrowszy człowiek może zachorować...

— To prawda!... O tym nie pomyślałem nigdy... Jednakże, ja tu widzę wielką różnicę; bo kiedym chory, to naprózno bym odpędzał chorobę — nie ustąpi! tymczasem Turenne przestraszył swój pokonał; i zaraz na zawołanie znalazła się odwaga!...

— To w samej rzeczy dziwne; lecz co najwięcej cię tu uderza?

— Niewiem dobrze.... ale ja sądziłem.... że bojaźń jestto uczucie, które od nas nie zależy....

— Bojaźń... zapewne! Ale... następstwa bojaźni, to wcale co innego.

— Tak?...

— Tak mój synu; człowiek nie jest panem uczuć, ale jest panem czynów swoich; bojaźni trudno się ustrzedz, lecz tchórzem zostać—to od nas zależy.

— Teraz pojmuje,—odpowiedział z pewnym zakłopotaniem,—bojaźń a tchórzostwo, to nie jedno; a pomyślawszy chwilkę jeszcze, dodał:

— Lecz nakoniec ojczy, jakimże sposobem pozbył się Turenne przestachu, który musiał być niemały, skoro go aż dreszczu nabawił?

— To łatwo odgadnąć; oto przyzwał na pomoc silniejsze uczucie: uczucie obowiązku, uczucie honoru.

Tu zastanowił się nieco, jakby myśl nowa stanęła w jego umyśle, następnie zawołał z pewnym zapalem:

— Jako dobrze, iż człowiek jest w stanie złą namiętność zwalczyć dobrą!... Przy tych słowach, twarz jego przybrała wyraz takiej szlachetności, iż mimowolnie uściskałem go; on zaś tak mówił dalej:

— Jednakże, powiedz mi ojczy, czy niema lu-

dzi odważnych z natury, bez żadnych wysileń z ich strony?

— Są nawet tacy, odpowiedziałem, — dla których niebezpieczeństwo jest przyjemnością; na przykład du Guesclin; on śmiał się tylko wtedy, kiedy oręż zobaczył. A będąc jeszcze dzieckiem, szukał zwady — i z równą przyjemnością odbierał razy, jak je zadawał.

— A więc ojczyzna, czyja odwaga godniejsza pochwały: du Guesclina, czy Turenna?

— Turenna mój synu; du Guesclin chlubił się odwagą jaką miał z natury; Turenne zaś pracą ją zdobywał; w tym jego zasługa.

— Prawda, ale ja sędzę, — tak mi się zdaje przynajmniej, że taka odwaga jak du Guesclina, jest więcej godną podziwienia.

— Masz słusność mój synu.

— A więc du Guesclin był odważniejszy?

— W oczach ludzi nie przeczę, lecz więcej zasługi ma Turenne.

Słyszając to umilkł i spuściwszy głowę, odszedł zwolna.

Czy ta rozmowa przyniesie mu korzyść jaką? — Przyniesie niewątpliwie. Widziałem bowiem, jak podczas mego opowiadania, przesuwają się po jego czole różne uczucia i myśli, a zdradzało je pomie-

szanie i zdziwienie. Piérwszy raz ukazało mu się tajemne, niepojęte uczucie wolnej woli — tej dziwnej władzy człowieka nad sobą samym... Przeczynał on ją, odgadywał, a wreszcie pojął.

Ziarno więc rzucone. Postarajmy się, by zeszło. Oto chwila właściwa! Trzeba zgłębić tę duszę, poznać wszystkie jej władze od piérwszej aż do ostatniej; wysledzić w niej, stworzyć uczucia, namiętności, przymioty, a nawet wady, byle one były silniejsze od bojaźni... Czyliż litość nie pokonała w nim już kiedyś obawy niebezpieczeństwa, gdy razu pewnego wdrapał się na wierzchołek wysmukłej topoli, by ocalić pozostawionego tam małego kotka, a miauczeniem żalonym wzywającego pomocy?...

Wszak przeszły wiek ukazuje nam obłąkanych w klasztorze Ś-go Medarda, którzy, uniesieni dziwnym fanatyzmem, tak umieli zagłuszyć w sobie uczucie bólu, iż uśmiechali się, kalecząc własne ciało. A ja, ojciec, powodowany najświętszym uczuciem, najszczytniejszym obowiązkiem, niemiałbym znaleźć środka, którym bym mógł nauczyć to dziecko, jak gardzić trwogą i cierpieniem w chwili niebezpieczeństwa?... To być nie może! Jan Bart przywiązał do wielkiego masztu własnego syna za to, że stchórzył podczas bitwy. Goetz von Berlichin-

gen wyrzekł się swego, złorzecząc wrodzonej jego słabości charakteru. Naszym jest zadaniem, ojcowie XIX-go wieku: wykorzeniać tę obmierzłą wadę, napozór nieuleczoną. Starajmy się więc wszelkimi sposobami rozbudzać odwagę, a rozbudziwszy, kształćmy w synach naszych ów przymiot tak pożądanym, którego nabycie pozornie tylko niepodobnym się nam wydaje. Ja — w imię Boże biorę się do dzieła.

Dnia 17 Marca 1848 r.

Dwa lata upłynęły od owej chwili, kiedy myśl straszna ogarnęła całą moją istotę, i od tego też czasu pracowałem nieustannie, by natchnąć odwagą serce mego syna. Wszystkie ćwiczenia umysłowe, rozrywki, czytania, rozmowy, przykłady, — wszystko skierowałem ku temu celowi. Teoretycznie, wewnątrz, zyskał on wiele. Jego pojęcia o sprawiedliwości, obowiązku i godności osobistej żywsze są i pewniejsze; lecz czy przy zdarzonej sposobności potrafi z nich korzystać?... Czasami jestem tego prawie pewien, niekiedy znów wątpię... Prawdziwa bowiem odwaga, to przymiot tak niezwykły! Na czym się ona zasadza?... Skąd pocho-

dzi?... Bo wcale nie z mocy charakteru... Iluż to generałów w życiu prywatnym okazało zupełną słabość—prawie niedołęstwo. Nie jestto wielkość duszy: bo ileż słabostek napotykamy w wielkich nawet bohaterach! Nie jestto poczucie obowiązku: bo najbardziej zepsute serca—są niekiedy bardzo waleczne. Nie jestto chęć odznaczenia się—bo iluż ludzi bez ambicyi—było awanturnikami nieustraszonemi? To nawet nie jest miłość własna—widzimy bowiem istoty niedołężne, bezduszne pozornie, które się budzą niejako w chwili niebezpieczeństwa. Czy więc odwaga ma być czysto instynktowym uczuciem? niezależnym od innych władz duszy? tym instynktem zwierzęcym... że tak się wyrażę, w którymby wola nie brała udziału—nie kierowała?... Ginę w domysłach!... Lecz wczoraj—opowiadano mi zdarzenie, które ożywia we mnie dawne przekonanie i nową budzi nadzieję. . . .

Pewien młody oficer, podczas ataku na redutę odznaczył się nadzwyczajnym męstwem—męstwem bohaterskim, które trwało sześć godzin przeszło—a ze 20-a razy w tym przeciągu czasu na niechybną śmierć był narażony. Wieczorem dnia tego, gdy wszyscy koledzy oddawali mu zasłużone pochwały: „Macie słusność!—zawołał on, śmiejąc

się—walczyłem jak bohater! I na honor cieszę się niezmiernie tym waszym uznaniem—bo ono nadaje mi prawo—podania się do dymisji.“

— Do dymisji!... zawołali—a to dlaczego?...

— Dlatego—drodzy przyjaciele—że mnie wtedy obmierzły strach ogarniał; gdyż ja czuję wstręt do tego krwawego rzemiosła; a gdybym służył dłużej, znając siebie—jestem pewien, że nierazbym jeszcze był bohaterem—a to byłoby wbrew mojej naturze. Kiedym więc raz spełnił moją powinność, dosyć mi tej chwały! Nie mogę służyć dłużej. I podał się do uwolnienia. Oto jest dowód jawny, iż odwaga—może być dziełem woli! Lecz jakiego stopnia woli?... To pytanie, na które trudno odpowiedzieć. Doświadczenie, okoliczności, niebezpieczeństwo może nam to wyjawiać. A więc czekajmy niebezpieczeństwa!

Mówiłem kiedyś, że miłość ma swój heroizm, swoją siłę. Zobaczmy, czy tak jest w istocie. Niech tylko zdarzy się niebezpieczeństwo szlachetne, które ocala a nie zabija—wtedy, choćby mi serce pęknąć miało z bóleści: nie usunę od niego mojego syna, wystawię go na próbę; a gdyby tego było potrzeba, wszak ma lat osmnaście—sam go weń popchnę—sam go na nie narażę.

Dnia 24 czerwca 1848 roku.

Narazić go na niebezpieczeństwo? Nie! Na to brak mi odwagi. Lecz wskazać mu je, zachęcić— a jeśli sam zechce się narażać—nie bronić, choćby go przyszło poświęcić!... Chwila nadeszła. Otóż jest niebezpieczeństwo, którego szukał. Niebezpieczeństwo tym droższe, iż nietylko jemu, ale i mnie zagraża; gdzie już nie idzie o piękne słówka, morały ojcowskie, ani o donośne rozprawy przy kominku; lecz o przykład jawny, publiczny, w dzień biały—przy blasku słońca: gdzie i ja i on mamy stanąć osobiście. Oto nakoniec chwila prawdziwej próby. Teraz mogę powiedzieć: „Rób to—co ja robię—a nie już tylko to, co ja mówię.“

Obawy serc wielu sprawdziły się—walka jest nieunikniona.—Czerwiec—1848 roku—będzie datą krwawą w naszej historii.—Los Francyi zagrożony, powstanie gotowe—wybuchnie jutro... a może dziś wieczór jeszcze!... Nie stanąć w takiej chwili to niepodobna! Pójdę więc—gdzie mnie wzywa obowiązek; lecz i on ze mną tam być powinien.—Trzeba go poszukać!....

Trzy godziny później.

Wracam od mego syna! Skoro mnie ujrzał, poskoczył ku mnie z żywością studenta, a złożywszy mi ukłon głęboki, podał najparadniejsze swoje krzesło; nakoniec, objął mię za szyję i całując serdecznie, zawołał;

— Drogi mój ojcze! ja bardzo cię kocham!

O! gdym go ujrzał w objęciach, przy moim sercu, tak kochającego—i gdym pomyślał, że przemnie, z mojej woli za parę godzin, na śmierć może wystawionym będzie.... o! wtedy zadrżało mi serce, a łzy popłynęły z oczu. On je spostrzegł — i zawołał głosem pełnym uczucia:

— Ojcze! ojcze, co tobie? czego płaczesz?

Usiłowałem więc uspokoić się.

— Te łzy nic nie znaczą, odpowiedziałem; ale idzie tu o rzecz bardzo ważną; przyszedłem z tobą pomówić.

— Mów ojcze, mów jaknajprędzej!

— Wiesz synu, w jakim stanie jest Paryż; wzburzenie ogarnęło umysły; zaczynają wznosić barykady, gwardyje narodowe pod bronią; za parę godzin bić się będą na ulicach miasta.

— Tak mówią, — odrzekł głosem wzruszonym; pobladał przytym strasznie.

— Będą się bić, powtórzyłem z wolna; lecz dodałem głos podnosząc: W takiej chwili dobry obywatel nie może w domu pozostać. Powinien, to obowiązek święty! (wymówiłem z naciskiem te wyrazy, gdyż i moją były one podporą), powinien tam być z drugimi! Jednakże, dodałem, — tam nawet każdemu pozostaje własne jego przekonanie. Znajdzie się dużo takich, co napadać i zabijać będą; mój udział powinien być inny: bo podług mego przekonania, w takiej wojnie domowej ulicznej, obywatel prawy nie na to się zbroi, by innym ciosy zadawał, lecz, by je tylko odpierał. I bądź spokojny; nie będzie on przez to mniej użytecznym. Jeden człowiek więcej, chociażby nie strzelał, ma swoje znaczenie, niekiedy nawet bardzo wielkie... Albowiem, wśród niebezpieczeństwa stać czynny opór, wystąpić jawnie, osobiście, przeciw gwałceniu praw przyjętych — rzucić się między walczących, jeśli tego wymaga potrzeba — by nie dopuścić zemsty osobistej, okrucieństwa i innej szkarady, które zwykły hańbić wojny domowe; na koniec walczyć przeciw zbrodni — oto moje posłannictwo! A jeśli zginę, to przynajmniej z tą myślą,

zem spełnił swoją powinność. Wpierw jednak chcia-
łem ciebie uściskać.

Słuchał i milczał. Przy ostatnich moich słowach
poblądł znowu; lecz uważałem, iż tą razą bladość
nie pochodziła ze strachu, lecz raczej z trwogi o mnie.
O! bo tak jasno mówi ojcu czoło syna! W miarę,
jak mu wypowiadałem moje zamiary — wszystko,
co tylko było w nim szlachetnego, odbiło się na
twarzy, nadając jej pewien wyraz dumy; a gdy
skończył, chociaż łzy błyszczały mu w oczach, ujął
obie moje ręce i zawołał: „Masz słusność, mój oj-
cze!” Następnie, jakby wycieńczony walką wewnę-
trzną, oparł mi głowę na piersiach i zaczął płakać.

Uściskawszy go z najżywszym uczuciem przy-
wiązania i uwolniwszy się z jego objęć, starałem
się zapanować nad sobą i mówiłem znów dalej, pa-
trząc na niego:

— To jednak powinno cię uspokajać, że pójdę
z przyjacielem naszym Dufourem; a i syn jego jak
ty ośmnastoletni chłopiec pójdzie z nami, bo niechce
odstąpić ojca...

Z trudnością wymówiłem ostatnie wyrazy, nie
śmiejąc spojrzeć na niego. Lecz wreszcie podnio-
słem oczy. Niestety! ta sama bladość, jaką widzia-
łem trzy lata temu wobec silniejszego przeciwni-
ka, pokryła i teraz twarz jego; usta miał zaciśnięte,

oczy czarno okrażone i nic mi nie odpowiadał. I ja milczałem; patrzyłem na niego i czekałem. Wkrótce, w miejscu tego bolesnego wyrazu, wystąpiła na lica jego walka uczuć przeciwnych; potym, nagle, gwałtownym wysileniem dźwignął się, że tak powiem, z pod wpływu gnębiącego strachu... Rysy zmienione chwilowo, wróciły do dawnej harmonii i głosem jeszcze wprawdzie wzruszonym, lecz w którym przebijała się energija, a więcej jeszcze silna wola, zawołał:

— I ja ciebie nie odstąpię mój ojczel! Jeśli ty pójdziesz, to i ja z tobą! Co rzekłszy, wybiegł z pokoju.

Teraz więc w imię Boże czekajmy niebezpieczeństwa, a gdy nadejdzie—zobaczymy!...

25 Czerwca o 4-ej godzinie rano.

Otóż i nadszedł czas; wyszliśmy. Przedstawiłem syna mego towarzyszom. Przyjęto go uroczyście. Oddział nasz umieszczono na placu Zgody. Syn mój jest milczący, ale zdaje się spokojny. O północy wysłano nas przez Królewską ulicę do małych, naprędce przygotowanych koszar na przedmieściu. Skoro świt, mamy iść na barykady. Ten

smutny nasz pochód, wydał mi się pochodem pogrzebowym. Na całej szerokiej ulicy nie spotkaliśmy ani jednego przechodnia! ani jednej żywej istoty! Tylko podług przepisów stanu wojennego światła we wszystkich oknach; ulica jasna a próżna, oświetlona a ponura, błaża głucha zaległa ją cisza. Co dziesięć kroków, w cieniu bramy, stał na koniu dragon — nieruchomy, cały otulony białym płaszczem, spod którego, w miarę naszego zbliżania się, wydobywało się jednostajne a przeciągłe wołanie: „Szydłwach! baczność!” I więcej nic, prócz głuchego odgłosu naszych kroków, odbijającego się w głębi duszy złowieszczym przeczuciem.

O drugiej po północy przybyliśmy do owych koszar. Zmusiłem syna, by się trochę położył. Czy śpi? Wątpię. Co do mnie, piszę, dnia oczekując; — piszę i drzę cały. Drzę, już nietylko o niego, o jego odwagę, ale i o moją własną. Bo, z tym wszystkim, i ja zbliżka niesłyszałem huku armat, niewidziałem bitwy.... A może i mnie strach ogarnie?... Może i ja stchórzę i zemknę z placu?... Lecz, w jego obecności stchórzyć.... jemu dać przykład nikczemności?... O! to męka straszniejsza od wszystkich innych.... A cóżby było, gdybym go ujrzał krwią zbroczonego?... O mój Boże! mój Boże!...

wspieraj mię, dodawaj mi siły.... a jego chroń!... ocal... zachowaj!...

Otóż i czas; wzywają nas, biją w bębny. Trzeba ruszać.... Już wszyscy gotowi... i on także... a za godzinę może... Ale idźmy... śpieszmy!...

Dnia 26 Czerwca.

....O! biednyż, biednyż ja ojciec!... Czy zdołają go ocalić?... Czy on to przeżyje?... Cóżem ja uczynił! Nie, to niebyła miłość ani poczucie obowiązku; to tylko pycha, próżność ojcowska!... O drogie... drogie moje dziecię! przezemnie i dlamnie... śmiertelnie ranione!... O! ja nieszczęśliwy! On jest tam... leży w moim pokoju, na moim łóżku, a ja tam wejść nie mam odwagi; nieśmiem spojrzeć na niego!... Patrz! dokąd zaszedłeś nierozsądny ojcze! Przekonałeś się, że twój syn jest odważny, aleś go wpiérw zabił!... Jam zbrodniarz!... Młodzieńca — dziecko osmnastoletnie rzucić na pastwę dział i bagnetów!... Czyliż wszystkie objawy uczuć szlachetnych i wspaniałomyślnych, jakieś w nim spostrzegał, nie mówiły ci dość wyraźnie, że on potrafi spełnić swoją powinność, gdy przyjdzie pora właściwa?... A gdyby i nie był spełnił tego tam obowiązku, czyż nie

znalazłby w życiu swoim tysiące innych pożyteczniejszych i świętszych może, niż bić się z rodakami?... O! onby się był wywiązał godnie z każdego zadania i byłby żył! a dziś?... O! mój synu, mój synu!....

Dłużej już nie mogłem wytrzymać; wszedłem do pokoju, by go widzieć raz jeszcze.... Jakże on schudł przez te dwadzieścia cztery godzin!... Biedne, drogie moje dziecko!.... A tak cierpliwy, tak słodki w swoim cierpieniu!... Dziś rano, gdy dostał wymiotów, co jest fatalną oznaką, a o czym on wie dobrze; prosił tylko otaczających: „Nie mówcie nic mojemu ojcu!” O, ja nieszczęśliwy!....

Dnia 27 Czerwca.

Ma się lepiej, cokolwiek lepiej! Kula wyjęta; nie przeszła na wylot. Gorączka mniejsza.

30 Czerwca.

Jest mu coraz lepiej! Doktor robi nadzieję... Teraz dopiero przypominam sobie i rozważam z nieopisaną radością i chlubą jego odwagę, jego poświęcenie.... Bo on nietylko spełnił powinność, lecz więcej, daleko więcej jeszcze uczynił... Jeżeli wy-

szedł z tej walki z honorem, to dzięki jemu; jeśli żyję, to z jego łaski!... On mnie ocalił... Szlachetne dziecię! Widzę go jeszcze, jak: gdyśmy wyszli o świcie z owych małych koszar, a szliśmy tak blisko jeden drugiego, iż dotykałem prawie jego ramienia — czułem nieledwie bicie jego serca; wtym, na skrócie ulicy, aniśmy się spodzieli, kiedy sypnęły się na nasz mały oddział rzęsiste strzały muszkietów. Następstwa były straszne. Trzech ludzi padło na miejscu; część, rzuciwszy broń umknęła.... Ja sam, zaskoczony tak niespodziewanie, myślałem już o odwrocie, gdy wtym — jego spostrzegłem.... Stał blady, drżący, odrętwiały z przerażenia. Ten widok naraz innym przejął mię uczuciem. Nikczemny tchórz! pomyślałem sobie; zamiast wspierać to dziecię, zachęcać, dodawać mu zapału i męstwa, ty upadasz w jego obecności i jego za sobą pociągasz! Tyś mu winien dać z siebie dobry przykład; dajesz-że mu go?.... I przechodząc nagle z przerażenia do energicznego zapału, zawsze powodowany uczuciem miłości, która wszystko usprawiedliwia, wskakuję na barykadę z białą chustką na końcu szabli, jako parlamentarz.... Przybywam, wpadam między walczących powstańców — i, zanim mieli czas użyć broni, przemawiam do nich z takim zapalem — wystawiam z takim oburzeniem nikcze-

mność wojny domowej—zaklinam z taką rozpaczą, by zaprzestali tej bezbożnej bójki—iż wkrótce spostrzegłem w nich wahanie.... Już miałem dokazać swego, gdy wtym, człowiek z nikczemną i złośliwą powierzchownością, zakrzyczał w grubijański sposób: „I to ten bigot!...“ ten świętoszek ma wstrzymać nasze powstanie?... A to mówiąc, wycelował mi prosto w piersi.... Lecz, w tejże chwili rozległ się krzyk straszliwy.... i.... jakaś ręka schwyciwszy karabin, zwróciła się w przeciwną stronę. To był on—to był mój syn! On to skierował strzał ku sobie—on padł od kuli, która mnie położyć miała.... i jeszcze padając przesłał mi spojrzenie i uśmiech, których nigdy niezapomnę!

10 Lipca.

Ocalony!.... Już nawet przychodzi do zdrowia. Dziś, poraz pierwszy razem jedliśmy śniadanie. Siedziałem przy jego łóżku, a on, długo trzymał moją rękę, milczał i zdawał się pogrążony w głębokim zamysleniu. Nagle, w te odezwał się słowa: — Ojczy, jakież to mała rzecz niebezpieczeństwo!...—a widząc że zadrżał na te słowa, dodał: Dla ciebie ojczy— to ja wiedziałem, że to nic wielkiego; ale dla mnie.... muszę ci się przyznać, jam

się bardzo obawiał. Gdyśmy wychodzili, zdawało mi się, że mnie nogi nie uniosą. Lecz przypomniałem sobie zaraz, iż jeśli zdradzę moją słabość, ty mną ojciec pogardzisz. Na samą tę myśl uczułem się innym człowiekiem i w głębi serca w te słowa odezwałem się do ciebie: „O mój ojciec! Ty, którego serce tak szlachetne a charakter tak silny — otocz mnie duchem twoim i uczyni godnym siebie!” Ależ co ci jest ojciec? nie odpowiadasz mi? (W samej rzeczy nie byłem w stanie mówić). Czy mi za złe bierzesz to zaleknienie chwilowe? potępiasz mnie ojciec?

Łzy nie pozwoliły mi odpowiedzieć. Wstałem tylko, wziąłem te kartki, na których spisywałem wszystkie uczucia, nawet moje osobiste obawy i za całą odpowiedź dałem mu je do przeczytania.

Zaledwie je skończył, zawołał:

— Jaktol... a więc i ciebie ojciec strach opanowywał!... i przyznajesz się przedemną? I to wszystko było dla mnie!... dla dania mi przykładu... O! mój ojciec, chyba nie było drugiego podobnego tobie!...

— Masz słusność mój synu, — odpowiedziałem, ściskając go serdecznie. Chyba niebyło jeszcze takiego jak ja ojca!

123. 72. 7/

Scenariusz Podręcznik

Zachęcona artykułem w tygodniku „Pomoc Wsiemna” — umieszczonym w Nr-ze 25 „Opiekuna Domowego” — poważam się przesłać wam moją pracę, w przekonaniu, że „Czym chacie bogata tym rada.”

UWAGI OGÓLNE

Będzie to zbiór uwag i doświadczeń z życia — a popartych doświadczeniem w zawodzie pedagogicznym. Nie pooblebiam ja sobie, iżby zdanie moje być mogło stanowcze — nie

WYCHOWANIU I WYKSZTAŁCENIU

W tym ważnym przedmiocie — pobudzić zdolne umysły, zachęcić do słownej — ja pragnę zrobić początek — pragnę — by ten głos wdrowił jako zawiązek — żądanej przez was „Pomoce wzajemnej” — serdeczną podany ręką — był pomocą dla innych. A da Bóg — kiedyś może powiedzą o was: „koniec uwieńczył dzieło.”

Jadwiga Ochodowicz.

nie bardzo obawiał. Gdyśmy wyszedł, zdawało mi się, że mnie w ogóle nie uniosł. Lecz przypomniałem sobie, że ojciec zabrał moje plany, ty jednak ojca pogodził. Na same te myśli uczulem się innym człowiekiem i w głębi serca, w te słowa odesyłałem się do ciebie: „O mój ojciec! Ty, którego serce tak szlachetne a charakter tak silny — otocz mnie swoim miłościwym światłem” (W samych odpowiedziach na listy moje). Czy mi za mej rzeczy nie byłem o „nie mów”. Czy mi za

WYCHOWANIE I WYKSZTAŁCENIE

czy nie pozwolił mi odpowiedzieć. W końcu, ko, wzięłem to kawałek, na których spisywałem wszystkie uwagi, nawet moje osobiste obawy i za całą odpowiedź dałem mi je do przeczytania.

DNIE W GAŁ.

Zaledwie je skończył, powiedział: „Jakoś a więc i ciebie ojciec strach opamiętał i przyznajesz się przedemną, i to wszystko było dla mnie!... dla ciebie mi przykład... O mój ojciec, chyba nie było drugiego podobnego (cibie)”. Miał słuszną moją odpowiedź, i oświadczył go serdecznie. Chyba nie było jeszcze takiego jak ja ojciec.

Szanowny Redaktorze!

Zachęcona artykułem wstępnym: „*Pomoc Wzajemna*“—umieszczonym w N-rze 25 „*Opiekuna Domowego*“—poważam się przesłać wam moją pracę, w przekonaniu, że „*Czym chata bogata tym rada.*“ Będzie to zbiór uwag i spostrzeżeń, poczerpniętych z życia—a popartych kilkoletnim doświadczeniem w zawodzie pedagogicznym. Nie pochlebiam ja sobie, iżby zdanie moje być mogło stanowcze—nie żądam, ani się spodziewam, by dobre treści zyskały ogólne uznanie,—lecz pragnę wywołać dyskusyjną w tym ważnym przedmiocie—pobudzić zdolne umysły, zachęcić zbyt nieśmiałe. Słowem—ja pragnę zrobić początek—pragnę—by ten grosz wdowi, jako zawiązek żądanej przez was „*Pomocy wzajemnej*“—serdeczną podany ręką—był pobudką dla innych, A da Bóg—kiedys może powiedzą o was: „koniec uwieńczył dzieło.“

Jadwiga Ochorowicz.

Zachęcając artystów do wzięcia udziału w konkursie, wzywamy ich do przemyślenia, że „Czas chwata bogata tym rada”.
Będzie to zbiór uwag i spostrzeżeń, poczynionych z życia — a partycy kilkoletnim doświadczeniem w zawodzie pedagogicznym. Nie pochlubił się sobie, iżby zdanie jego było mogło stanowić — nie sądzi, ani nie spodziewa, by dobre cześć uzyskać ogólnie uznania, — lecz pragnie wywołać dyskusję w tym ważnym przedmiocie — pobudzić zdolne umysły, zachęcić do przemyśleń. Słowem — ja pragnę zrobić coś — pragnę — by ten głos wdrożył, jako zawieszek sądzanej przez was „Pomocy wczajmy” — serdecznie podany tekst — był podobny dla innych, A da Bóg — kiedyś może powie o was: „koniec wieńczy dzieło.”

Ernest Legouvé—autor dziełka: „*Ojcowie i dzieci XIX-go wieku*“, pisząc o wychowaniu chłopców, silnie obstaje przy tym: aby sywowie kształcili się w szkołach przychodnich nie zaś w zakładach zamkniętych, w których, jak się wyraża: „Stosunki familijne, jeśli nie zrywają się zupełnie, to zawsze jednak tracą owę nierozzerwaną spójnią, jaka łączyć zwykła rodzinę—pod jednym dachem mieszkającą. A ja wielką do tego przywiązuję wagę, mówi on, żeby syn mój przejął się zasadami matki; a wreszcie, czemużby i moje miały mu być obcemi? Wspomnienia rodziców, są to *klejnoty serc naszych!* Jakże tu wiele powiedziano w tych kilku wyrażach!... Lecz—jeżeli wpływ domu rodzicielskiego tak ważny jest dla syna, to cóż dopiero powiemy o córce?... Jakąż troskliwością należy otoczyć tę, która ma być matką—której zasadami chcemy przejąć syna—a której wpływ nie ma granic!.... „Władza wasza potężniejsza jest od władzy tych“

którzy nami rządzą, powiedział Ozanam ¹⁾, ponieważ wychowując syny wasze, wy same przygotowujecie żywioły ducha publicznego... Wy tworzycie tych, w których ręku są losy narodów!...“

Lecz—aby być dobrą matką—trzeba przede wszystkim być zacną niewiastą—rozsądną i szlachetną obywatelką... Pojmować ducha czasu—i znać potrzeby kraju. A jakkolwiek zarody dobrego przynosi z sobą człowiek niewątpliwie—rozwinąć je wszakże, uzacnić, uszlachetnić i utrwalić—może tylko wychowanie. „Wychowanie młodzieży, mówi znów Ozanam, jest ową potężną siłą, która nietylko tworzy świętych lub potępionych; ale co więcej—wpływa na przyszłość społeczeństwa... Nadaje mu pewne kształty—i stanowi o jego trwałości.”

Jakże przeto wielkie, jak ważne jest posłannictwo rodziców—jak szczytne zadanie wychowania!... Ale jakich też ono wymaga starań i trudów—jakiego zaparcia się i poświęcenia; by moralne ziarno, rzucone w łono społeczne—wydać mogło pożądane owoce?... Tymczasem porachujmy się z sumieniem... Nie zagłuszajmy wewnętrznego gło-

¹⁾ Mission et devoirs de la femme chrétienne au sein de la société.

su, który nam mówi: że jakimkolwiek zarzutami obarczają młodzież naszą—i my starsi nie jesteśmy wolni od winy... Ina nas za ich postęпки znaczna ciąży odpowiedzialność. Nie dosyć bowiem skarżyć się i narzekać—za mało nawet żałować za winy; lecz spostrzegłszy złe—należy raczej badać, skąd ono pochodzi.... starać się poprawiać to, co w naszej jeszcze jest mocy: a jeśli nam brak odwagi—to przynajmniej zachęcić drugich do dziania. Przedewszystkim zaś: starać się powinniśmy poznać niedostatki nasze—zrozumieć potrzeby—i według możności, dokładać usilnych starań, by przyszłe pokolenie od podobnych błędów uchronić. Nie opuszczać rąk bezwładnie; bo wszak powiadają, że do samej śmierci uczyć się człowiek może—i powinien — a życie jest ową księgą, z której najobfitsze zbiera zasoby!. Doświadczenie zaś najlepszą podobno mistrzynią; ale je tylko z czasem się nabywa. Praca nakoniec jest obowiązkiem każdego człowieka.... Pracując, służymy społeczeństwu—pracując, chwalimy Boga; bo zacna praca—jest najmiłą dla Stwórcy modlitwą!

Zamiast więc szlachetne popędy młodzieży—święty jej zapal do postępu—przytłumiać i niszczyć w zaraniu, niewczesnym moralizowaniem, starajmy się raczej, rodzicielskim otoczyć go ra-

mieniem; wspierać doświadczeniem; pokrzepiać wiarą w zacność młodych chęci; wzmacniać nadzieją pomyslnych skutków; rozjaśniać i słodzić miłością—by te dobre chęci i usiłowania—poszły gościńcem jasnym i szerokim, nie zaś zboczyły na manowce!... Zastanówmy się przytym, cośmy dotąd zrobili—a co możemy i powinniśmy zrobić w sprawie wychowania. Bo jak od uprawy roli—od zdrowego ziarna—zależy plon obfity.... jak fundamenta stanowią o trwałości wznoszącego się gmachu—tak o pomyslnym rozwoju i wzroście społeczeństwa stanowi niewątpliwie wychowanie; którego fundament najważniejszy—kładzie dom rodzicielski. A zakłady naukowe—czy mają pozostać obojętne? Nie—i one ważną tu odgrywają rolę; i one—jeżeli mają rzeczywiście rozsiewać dobroczynne światło nauki—powinny mieć na względzie przeznaczenie płci obojej; zakłady zaś żeńskie mianowicie: przyszłe obowiązki niewiasty w rodzinie—i w społeczeństwie. O! tak—tylko ręka w rękę—tylko wspólnymi siłami pracując około dobra młodzieży—dojść możemy do pożądanego celu. Inaczej—będzie to ciągła i zacięta walka, której ofiarami staną się dzieci nasze...

Podstawą więc wykształcenia ma być wychowanie domowe—a postępowaniem w rozwoju sił umysłowych

wych—ma kierować umiejętne wykształcenie. Do
pożądanego zaś postępu oświaty kobiet—czyli—
oświaty ogólnej—i rzeczywistej cywilizacyi:—tylko
jedno i drugie wzajemnie wspierane, ulepszone
i doskonalone—doprowadzić nas może....

Dom i Szkoła.

Zakłady naukowe zamknięte, mogą mieć bardzo
dobrą stronę — ale też i wiele złego wyrządzają;
zwłaszcza—jeżeli rodzice zapominają o swoich obo-
wiązkach względem dzieci, lub nie są w stanie ich
spełniać, skoro—pozbywszy się dziecka z domu,
sądzą: iż płacąc hojnie za jego edukacją—czynią
już zadosyć swojej rodzicielskiej pieczołowitości.

Albo gdy znów zakłady naukowe—bezwzględ-
du na przyszłe obowiązki kobiet, pomijają w pla-
nach swoich rzeczy najważniejsze, to jest: korzyści
moralne i fizyczne. Moralne — zapominając: że
kształcenie rozumu—powinno iść w parze z kształ-
ceniem serca.... Fizyczne—nie pamiętając: że myśl
zdrowsza—wola silniejsza—i trzeźwe uczucie—
w zdrowym tylko mieszczą się ciele; że siła moralna
człowieka wartość jego stanowi—a siły fizyczne
—do rozwoju tej siły ducha—do rozwoju i wzro-

stu społeczeństwa—wielce się przyczyniają. Jeśli więc zakłady wychowawcze nie kierują się tą myślą bezustannie—w takim razie: zamiast być pożytecznymi—stają się prawdziwą plagą dla społeczeństwa.

Wykłady nauk — w zamkniętych instytutach, mogą być najwyższe; prowadzone systematycznie, bez przerwy i z całą ścisłością. Wprawy w języki obce—można tu nabyć; przytym porządek i akuratność: jako nieodzowne warunki istnienia każdej Instytucyi—i na wychowanki oddziaływać muszą w sposób pożądaný. Lecz—gdy umieściwszy tu córkę, za ledwie raz w lat kilka wolno jest zabrać ją do domu; a rodzice i rodzeństwo często jej odwiedzać nie mogą: a nawet utrzymywać z nią stosunków piśmiennych, tak często, jakby należało, nie są w stanie—zaniedbają—a co gorsza, nie pojmują potrzeby... cóż wtedy stanie się z wychowanką naszą?. Nikt o nią nie dbał—nie zatroszczył się serdecznie, gdy tęsknota za rodziną ogarniała jej serce; zdolności też nie miała—potrzeby nauki nie rozumiała; bo rodzice sami tego niepojmowali. Kiedyś mieli się oni nieźle—dziś prawie bieda—dzieci dużo; lecz trzeba sobie jakoś z niemi radzić... Udało się jedną z córek umieścić bezpłatnie w zakładzie naukowym—dobrze więc choć jedną osobę

mniej żywić w domu— a przytym— wszak stypendystki i ubiór i książki dostają... Niech więc idzie z Bogiem—zawsze tam coś skorzysta...

I oto po sześciu latach wróciła do domu... i skorzystała... A sześć lat w życiu dziecka—to wielka różnica... Wróciła panną dorosłą; sióstr braci prawie nie zna—rodzice też jakoś się dziwnie zmienili; a raczej pozostali tym, czym byli dawniej: jakimi ich Pan Bóg stworzył... Pracują oni, oszczędzają—nie dają się biedzie jak mogą, ale co się tam dzieje na świecie... to ich bynajmniej nie obchodzi. Wszystko więc inaczej jest w domu niż było w instytucie.... O Boże!.... jak tu żyć teraz? Przeniesiona chwilowo w niewłaściwą sferę, zapomniała czym była—a nie nauczyła się czym być może ani czym być powinna. I wraca znów między swoich; gdzie czuje się obcą—niezadowoloną—a w oczach drugih dziwaczna—niepojętą—nieznośną nawet niekiedy i wcale niepożądaną; bo doniczego, jak powiadają... Oto—z czym wróciła do rodzicielskiego domu—i jaki pożytek mieć może z nauki, przy nierozwiniętej myśli, śpiącym sercu—braku wrodzonego rozsądku—bez dobroczynnej pomocy wychowania?

Zobaczmy teraz drugą wychowanekę. Ta, jako

zdolna i roztropna z natury—przeczuła potrzebę nauki; oddała się jej z całym zamiłowaniem. Pamięć ma doskonałą—robi też odznaczające postępy. Obsypywana wciąż pochwałami—wychodzi z zakładu uczona—ale wcale niepraktyczna istota! Co krok też różne napotyka trudności w pożyciu z ludźmi inaczej niż ona usposobionemi. Żeby przynajmniej, wróciwszy do domu zastała matkę, choćby nie uczoną, ale rozsądną, kochającą, gospodarną i pracowitą; to lat parę, spędzonych pod kierunkiem zacnych rodziców, mimo krzywdy, jaką jej wyrządziła przerwa w stosunkach rodzinnych: mogłaby jeszcze złe naprawić; i dopełnić choć w części edukacyi potrzebnej dla każdej kobiety: nabyć wiadomości praktycznych—a nieodzownych i odpowiednich jej przeznaczeniu. Lecz na nieszczęście—matki już nie zastała, a ojciec stary i zrzędny. Dostatek jest w domu, ale ładu ni składu—ani pytaj! A panna uczona... gdzie jej się zajmować gospodarstwem!... to rzecz tak nudna i pospolita... a z nauki swojej nie umie w życiu czynnym zrobić użytku—bo jej nie nauczono myśleć... Ale cóż robić z czasem? Sąsiedztwa jakoś niezbyt przyjemne—wreszcie ojciec nie lubi zgiełku—przywykł do spokoju! I oto—przybywa jedna więcej

nieszczęśliwa—wiecznie tęskniąca, marząca, skwaszona istota—która ani sobie, ani drugim, na wiele się nie przyda. Czy więc nauka zastąpiła to, czego nie dało wychowanie?

Idźmy dalej—mamy przed oczyma rodziców rozsądnych, kochających; pojmujących swoje względem dziecka obowiązki, którzy z całą przezornością biorą się do rzeczy. Nie oddają córki swej do klas niższych; ale dopiero do trzeciej klasy. Dzieweczka ma już lat 12-cie—roztropna jest, łagodna, kochająca, należycie usposobiona w naukach. Myśl nawet rozbudzona. Uczy się więc na rozum nie zaś dosłownie, jak się to zdarza. Rodzice i rodzeństwo bardzo ją często odwiedzają; bo na każde święta jest u niej ktoś z rodziny; a nawet na wakacje matka ze wszystkimi młodszymi dziećmi zjeżdża do pobliskiej wioski od miejsca, gdzie jest instytut—aby jaknajczęściej widywać drogą swą córkę; aby i drobne rodzeństwo ze starszą siostrą—i ona wzajem—cieszyć się z niemi mogła. Następnie—po dwu latach pobytu jej w zakładzie, pozwalają rodzicom zabrać ją do domu na wakacje. Poczciwe dziecko—całą pierśią używa swobody na łonie rodziny. Z żalem serdecznym ją żegna, gdy czas wakacyj się kończy, co najlepiej dowodzi, że

węzły rodzinne nie osłabły. Wraca do swych zatrudnień—smutna jest, ale się pociesza tą myślą: że za dwa lata skończy nauki. Już tylko dwa lata!... a wróci do ukochanej rodziny, do swoich drogich rodziców! Oni tak wiele robili dla jej dobra—tak pamiętali nie tylko o jej potrzebach; ale i o przyjemnościach... Kochające też serce córki—czuje to dobrze, i aż nadto pojmuje dług względem nich zaciągnięty—i z całej duszy pragnie, dać im tego dowody... Cicha—milcząca, lecz pogodna i spokojna; unika wprawdzie wesołych igraszek współtowarzyszek, bo jej jeszcze tęskno za domem; ale nie zaniedbuje swoich obowiązków. Pilna jest, chętna i uważna, pracuje gorliwie i wytrwale. Nareszcie—zbliża się do celu... Rodzice zawsze troskliwi—oczekują też niecierpliwie tej chwili; bo ich córka jakoś pobladła wśród tej ciągłej pracy. Niepokoją się trochę—ale mówią sobie: że w tym wieku rzadko która dziewczynka nie zmienia się cokolwiek, wreszcie polecili ją lekarzowi—pisują często—udzielają rad swoich pod każdym względem... Już też niedługo odpocznie sobie w domu, powiadają, i wszystko będzie dobrze... Już i skończyła nauki... Pracę jej i postępy umiano ocenić—odbiera najwyższą nagrodę... Wszyscy winszują rodzicom, którzy z radością serdeczną śpieszą

po swoją ukochaną córkę. Już w myśli widzą ją biegnącą naprzeciw nim—już ją czują przy swoim sercu — i tysięcznymi darzą pieściami... Lecz ona—zamiast wybiedz z pośpiechem na ich powitanie, zamiast rzucić się na szyję matki... z radością przycisnąć do ust rękę ojca... ona... cicha—łagodna—jak zwykle, lecz blada, wątła, osłabiona i drżąca; powolnym krokiem ku nim się zbliża. Łzami zalana tuli się do ich piersi—i tylko łzami radość swą wyrazić jest zdolna!... Zamiast więc wesela i rozkoszy—i w oku rodziców łza staje, a srogi ból ściska im serce. „O! Boże! czy to aby nie co złego?“—pyta strwożona matka. „O! biedne—biedne dziecko moje“—mówi zacny ojciec. Lekarz jednak zapewnia, że to przejdzie. „Trzeba jej tylko wytchnienia—mówi, rozrywki, posiłku, świeżego powietrza; natura niezepsuta—wiek ma swoje prawa — czas wszystko naprawi.“ I miał słuszną. Przyszły siły—na lica wrócił rumieniec... Po paru latach pobytu w domu rodziców—wychowanka nasza zamąż wychodzi. Wzorowa córka—zacna i ukształcona niewiasta—musi też być dobrą żoną i matką. I jest nią rzeczywiście. Ale—gdy pierwszą Bóg jej dał dziecinę—ciężką przebyła chorobę. Wkrótce jednak wróciła do zdrowia; młoda i kochająca—pragnie być matką

w całym znaczeniu tego wyrazu. Pobożna jest a przytym rozsądna—robi więc wszystko, co może, by zdrowie swoje, tak potrzebne, utrzymać; by z całą sumiennością spełnić obowiązki żony, matki i gospodyni. Zarodu żadnej dziedzicznej choroby nie nosi ona w sobie. A jednak?—popatrzmy na nią po latach kilku... Jest w sile wieku... nie wielka gromadka dziecinek ją otacza—każde wykarmiła własną piersią—żadnej ku temu organicznej przeszkody nie było... Czemu jednak wątła i znękana? Czemu to zajęcie tak właściwe dla kobiety, któremu z całym oddawała się zapalem widocznie przeszło jej siły? Oto—bo rozsądna a tkliwa—pojęła wczesnie swoje obowiązki. Nau czona myśleć—uczyła się umiejętnie, pracowała bardzo, by rozumem ogarnąć to, co drugie, obdarzone pamięcią powtarzają bezmyślnie. Widocznie więc robiła nad siły... i w tej właśnie porze, kiedy natura z całą energiją dopomina się praw swoich: kiedy dziewczę staje się kobietą—ona wyteżala zbytecznie swe siły—i to właśnie niezatarty wpływ wywarło na całe jej życie. Czy więc plan nauk jest odpowiedni—czy to wszystko, cośmy dotąd zrobili w sprawie wykształcenia—jest dostateczne i dobre?... Może mi kto powie: że wyjątek nie stanowi reguły;—lecz rzućmy okiem na nasze społe-

czeństwo a przekonamy się może—ileto jest tych wyjątków! Czy dzieci takiej matki, jakkolwiek zacnej i wzorowej—mogą być silne i zdrowe? Czy ona jest w stanie wychować je jak należy?

A teraz:—oto dziewczę swobodne, wesołe, czerstwe i żywe, córka zacnych rodziców—równą jak poprzednia otoczona troskliwością tak w domu jak i w instytucie. Przechodzi klasy—i choć nie tak świetnie jak poprzednia;—ale zawsze dobrze kończy nauki. Bóg dał jej dobrą pamięć; żywa jest przytym z natury, niepotrzebuje robić nad siły, nie zagłębia się też zbyt w naukach, nie kłopotuje, nie rozmyśla; bo i cóż jej złego na świecie? Na niczym jej nie zbywa. Wszyscy ją lubią. Rodzice kochają rozsądnie i serdecznie—myślą o jej potrzebach. Wszystko się jej uśmiecha!... Lat parę po skończeniu nauk, przebytych na łonie rodziny wystarcza, by ją zrobić zawołaną gospodynią. Umie piec ciasta—wędzić szynki—smażyć konfitury, umie szyć; zna różne kobiece roboty... Los wiecie ją na wieś; lecz to nic nie szkodzi. Jej wszędzie dobrze będzie... Zamiłowana w porządku i pracy—umie być czynną, wystarczyć sobie, nigdy się też nie nudzi; bo każde zajęcie ma dla niej powab pewien. Krząta się po swoim domku—wszędzie jej pełno: w oborze i kurniku—w spiżarni

i piwnicy—w kuchni i w salonie. Bo wszak jej dano wszechstronne ukształcenie. Już nawet Bóg dał parę dziecinek, które chowają się dość szczęśliwie i zdrowo. Ona dla nich żyje—piastuje, karmi, ubiera, obszywa; wszystko na nich czyściutkie, wydzirgane, wyhaftowane, wypracowane staraniem lub własną matki ręką. Słowem—wszystko dotąd idzie jak z płatka—a pamiętne wyrazy wieścza: „Swego męża ona — głowy korona“ ziszczają się jak najzupełniej. Lecz—nie cieszymy się zbyt. Oto dziecińy zaczynają chorować... Doktor mieszka o milę drogi za rzeką nawet—niepodobna mieć go w każdej chwili; a młoda matka niewie, jak sobie radzić. Choroba jednego z dzieci jest nawet ważna; doktor największą zalecił ostrożność—a dziecię grymasi, napiera się Bóg wie czego—jak zwyczajnie chore—a matka w głowę zachodzi co począć... co dać—czego odmówić? Jak postąpić, żeby dziecko wzięło lekarstwo? Zapomniała się zapytać: jak długo trzymać synopizm. Dziecina krzyczy—ona się boi odjąć zaprędko, żal jej dziecka, które widocznie mocno cierpi... Co tu począć? Sługi nawet młode i niedoświadczone— „O! Boże mój, Boże—wyrzeka biedaczka—ja nigdy chorego nie widziałam dziecka—ja nie wiem co zrobić!—O, czemuż tu nie ma mojej matki! O, cze-

mu, czemu nie chowali mnie w domu! Ja nigdy nie byłam przy chorych—ja nie umiem się z nimi obchodzić!... Czemu przynajmniej nie uczyli nas tego—wszak higienę wykładali?... Tyle umiem różnych rzeczy—tyłem się uczyła—i na cóż mi się to wszystko przyda?...

Powiemy może: iż nie właściwie jest przypisywać tu winę wychowaniu; bo któraż młoda matka umie sobie radzić z chorym dzieckiem, lub skądże znowu w instytucie wykladać miano, jak długo synopizmy leżeć mają? Prawda—że to dziwne na pozór wymaganie.. Lecz jednak dopominamy się postępu, oświaty. Jeżeli więc dla nabycia nauki, rozdzielamy dziecko z domem rodzicielskim i pozbawiamy je sposobności korzystania z wiadomości praktycznych, które stanowią tak ważny warunek pomysłnego wzrostu rodziny; to starajmyż się przynajmniej tak urządzić zakłady, tak pokierować nauką; aby choć w części, poglądem przynajmniej zdrowym na przyszłe obowiązki niewiasty—dom jej zastąpić mogły; aby szerząc niby światło, nie wyrządzały rozmyślnie krzywdy domowemu wychowaniu. Bo jednak mimo najszczerzych usiłowań, nigdy zakład naukowy, rodzinno-domowego, umiejętnego i serdecznego wychowania dać nie jest w stanie. Niechże przynajmniej

nie puszcza w zapomnienie—nie przyczynia się do lekceważenia tych wiadomości; któremi często, młoda zarozumiała główka, zajęta rymotwórstwem, lub filozoficznemi badaniami, pomiata—a przy-
 najmniej pomija je, jako zbyt poziome, spospolito-
 wane wiadomości! Dziś widzimy, że młoda wy-
 chowanka nasza nie umie sobie radzić z chorym
 dzieckiem—a jutro się przekonamy, że i ze zdro-
 wemi nie lepiej jej idzie. Rozpieszczone, krzykli-
 we, uparte i nieposłuszne prawdziwym są utra-
 pieniem zamiast rozkoszą rodziców — a matka
 z jednej ostateczności wpada w drugą. I albo
 ulegając dzieciom zupełnie, dochodzi do tego: że—
 gdy Bóg da kilkoro, to rozum stracić, uschnąć
 można między niemi—lub też—skoro na większą
 zdobywa się niby energiją i ma dostatek: to
 otacza się masą sług, bon, guwernantek cudzozie-
 mek—i wszyscy razem składają się na to: by za-
 trzeć zupełnie dawne nasze, choć nie postępowe,
 ale poczciwe, serdeczne—i prawdziwie rodzinne
 wychowanie! Dawniej—wyjątek stanowiła kobieta
 wyżej ukształcona—dziś pełno jest mających pre-
 tensyją do uczoneści; ale coraz trudniej o kobietę
 pojmującą należycie swoje obowiązki, praktycznie
 i umiejętnie wychowaną.

Zobaczmy więcej przykładów. Oto młoda wychowanka nasza: która wróciwszy do domu rodziców znajduje w nim tylko zbytek, rozrzutność i brak zdrowego rozsądku. Skoro przytym spanoszeni a dumni z tego rodzice, pyszni, że córka ich skończyła najwyższy zakład naukowy, zaczną podsycać jej próżność wszelkie zajęcia domowe, gospodarskie, rodzinne—za zbyt poziome, niewłaściwe—a nawet poniżające uważając, otoczą młode serce tą atmosferą, jaką tak chętnie oddychają sami... o! wtedy—biada mężczyźnie, który tam zechce szukać towarzyski; biada krajowi, w którymby znaczne kółko z takich rodzin powstało!

Lecz oto dziewczeczka niezamożnych rodziców powraca do domu; gdzie jej z upragnieniem wyglądają. Dzieci tu dużo, a wszystko dziewczątka. Rodzice oboje ciężko pracują. Ojciec rozsądny i światły sam początkowo zajmował się edukacją córki. Umiejętnie korzystał z jej zdolności—a ugruntowawszy należycie we wstępnych naukach oddał na dokończenie do instytutu, gdyż liczną otoczony rodziną, nie może jej się wyłącznie poświęcić; musi pracować na zaspokojenie potrzeb całego domu. Grosz każdy oddaje rozsądnej, pracowitej i kochającej towarzysce, która, całą duszą zajęta dobrem swych najdroższych, pragnie, jakto mówią,



z grosza dziesięć zrobić. Córka zaś starsza została oddana do instytutu dlatego, by mogła wyręczyć ojca — to jest być nauczycielką młodszego rodzeństwa. Piérwsze chwile jej życia przeszły na łonie rodziców myślących, ukształconych i prawdziwie pojmujących wysokie posłannictwo małżonków. Teraz wraca do domu; by skończywszy nauki pod wpływem ich rozsądnych zapatrywań się na życie; w dalszym ciągu — pod kierunkiem matki, wprawiać się w przyszłe obowiązki niewiasty: — dopomagać matce w trudach i kłopotach gospodarskich; dzielić jej troski około całej gromadki drobnych dzieci; wyręczać ją w pielęgnowaniu młodych siostrzyczek lub braciszków, sług, domowników lub podwładnych, brać udział w zarządzie domu — w kierowaniu służbą; uczyć się obowiązków względem klas niższych — poznawać ich potrzeby — wpływać na ich pojęcia. Słowem dom rodzinny ma stać się dla niej małym światem... W każdej zaś trudności, młode jej serce — czerpie potrzebny hart i siłę w światłych radach ojca; zachętę — w czynnym działaniu matki...

Tak bywa skoro rodzice, złączeni miłością wzajemną, szacunkiem, właściwym poglądem na to życie, odpowiednio ukształceni, starają się być dopełnieniem jedno drugiego — zrównoważeniem

dwu sił wspólnych, zjednoczeniem pojęć o obowiązkach; —gdy—z rozsądnie obmyślonym planem przystępują do wychowania swych dzieci. Jeśli na pierwszym względzie mają ich zdrowie, charakter — stosunek względem rodziny i społeczeństwa — osobistą godność człowieka, obowiązki obywatela: o! wtedy i zakłady naukowe ze wszystkimi swemi niedokładnościami, mniej szkodliwy wpływ wywierają... A z czasem—i one zrozumieją potrzeby, pojmą chęci i wymagania ogółu. Lecz—jakże jeszcze wiele warunków potrzeba, ażebyśmy doszli do takich rezultatów?

Cóż znowu będzie—gdy wychowanka nasza jest sierotą? Dalecy krewni przyjęli nad nią opiekę. „Trzeba jej przyszłość zapewnić—powiadają, te parę tysięcy, jakie jej po rodzicach zostały, to wcale nie majątek. Gdy je obrócimy na danie jej wyższego wykształcenia, to zapewnimy los na przyszłość. Może być guwernantką—zebrać nawet co grosza; boć jej przecież każdy zapłaci. A i męza łatwiej znajdzie uczona dziewczyna—niż jaka gąska.“ I rzeczywiście mówią rozsądnie... Oddają zatem do Instytutu małą sierotę. Skrupulatnie płacą za naukę—zaspakajają sumiennie skromne jej potrzeby; ale czynią to z największą oszczędnością; bo wszak powinna pamiętać, że jest ubogą—

że jest sierotą — że nie ma prawa do wygod — że zbytku jej znać niewolno — a pracować musi; bo to całe jej szczęście.... Wszystkie te uwagi jakkolwiek rozsądne, bolesne wszakże dla serca, słyszy biedactwo — ile tylko razy zdarzy się ku temu sposobność. Sieroctwo staje się pobudką do obowiązków!... Lecz — cicheto, potulne z natury stworzenie, uczy się, pracuje, bo i cóż ma robić? Wszak rośnie z tą myślą, że jest sierotą.... Wszyscy jej to przypominają — a nikt nie przygarnie do serca, nikt nie zachęci tkliwym słówkiem — nikt nie obdarzy pieśczętą!... nie ogrzeje miłością... W kołonie jedna piosenka: surowa powinność — sieroctwo i łaska.... Troskliwi opiekunowie niepotrzebnie starają się i w instytucie rozciągnąć bliższy dozór nad swą pupilką. Bo i tu są tacy, którzy jej przypominają: ile to dla niej ponoszą trudów — a choć dobrze się uczy i do każdego stosuje rozkazu, nie bardzo ją tu lubią. Taka milcząca, zarozumiała, powiadają — i dumna widać z tego, że się lepiej uczy od wielu innych — a to przecież nie jej zasługa; Bóg dał jej zdolność — a wszyscy pilnują, żeby ich nie marnowała... Stąd powinna być wdzięczną za swą umiejętność... Ale już przecie skończyła instytut... i to chlubnie... bo praca stała się

potrzebą jej serca;—obowiązek przejął całą jej istotę... Co to szkodzi, że w niej zabili uczucie; wszak sierota pracować tylko ma prawo!...

A więc panna wysoko ukształcona, przybywa do krewnych, którzy tak sumienną rozciągnęli nad nią opiekę. Lecz to jeszcze nie koniec jej karyjery... Uczyła się na guwernantkę—trzebaż jeszcze pomyśleć, żeby gdzie dobre dostała miejsce, to jest: gdzieby jej dobrze zapłacono... Wszakżeż to rzecz najważniejsza!...

Biedna sierota!... jakże smutne będzie jej życie, jeśli się dostanie do domu; gdzie podobnemi, jak jej krewni rządzą się zasadami?... Zbierze ona może tysiące za swą naukę i pracę—ale czy pozna tę radość wewnętrzną, jaką daje serdecznie spełniany obowiązek? Czy odpowie godnie posłannictwu nauczycielki—czy będzie w stanie wychowywać kobiety praktyczne, miłe i pożyteczne—jeżeli sama pedantycznie tylko, podług form raz przepisanych pojmuje i pełni swoją powinność?... Skądże urosło uprzedzenie: że tak zwanych guwernantek, lękają się jak ognia?... Bo jeśli znów w dom zacny dostanie się podobna istota— a broń Boże!... wyziębione jej serce, nie dopuści żadnego gorętszego uczucia—żaden szlachetny wpływ nie odezwie się w jej duszy; to wtedy słusznie lękać

się można takiej dla swych dzieci przewodniczki!. Czyżby dziś zwłaszcza, kiedy tak wiele spoczywa na matce, pomoc odpowiednia nie była pożądaną? A brak tej właśnie pomocy—nie jestże najlepszym dowodem: że zakłady naukowe potrzebują reformy?

Nie przeczę—iż kobieta egzaltowana—sztucznie czuła lub chorobliwie i niedołąźnie; której czułość przechodzi w szlamazarność, nieradność, ckliwość, że tak powiem, wcale pożądaną nie jest:—lecz może być nieznośniejsza istota—nad owę zimną, zarozumiałą i sztywną pedantkę, której każdy ruch wymierzony, każde słowo obwarowane matematyczną niezachwianą regułą, na której zimno—poważne lica, nigdy gorący nie wybiegnie rumieniec; której?oczy nie zabłysną żywym uczuciem lub łzą szlachetną nie zajdą—a serce nie uderzy radośnie?...

Każda ostateczność złą jest bezwątpienia—lecz bez miłości rozsądnej i wyrozumiałej, bez tego serdecznego ciepła, bez owej powagi pełnej stanowczości, surowości nawet—ale sprawiedliwej; którą nie złość i namiętność kieruje, lecz w której zawsze przebija się serce; bez owego namaszczenia—że tak powiem,—nie godzi się zbliżyć nawet do

dzieci—ani podejmować opieki nad niemi, ani marzyć o macierzyństwie!...

Jeżeli więc do zimnej powagi, jaka po części panuje w zakładach zamkniętych, dołączy się jeszcze samolubstwo; gdy sieroctwo, ubóstwo budzić tam tylko będą obojętność i lekceważenie— a przyszłe obowiązki matki i nauczycielki—matki gospodyni—matki i żony ubogiego lub zamożnego obywatela; kobiety jako ważnej jednostki wielkiego towarzystwa, ani nawet wspomnianemi nie będą uczennicom, gdy prócz tego, w niepomiarowanych i bezrozumnych wymaganiach—podsycać zechcą próżność dzieci—bezwzględnie na położenie rodziców; gdy zamiast budzić zamiłowanie pracy i poszanowanie cichej a szlachetnej zasługi—półuśmiechem lub wzgardliwym ramion poruszeniem podobne dążenia zbywać będą; gdy tytuły i bogactwa wyższe niż cha-ta znajdą tu pomieszczenie—a czcze pozory za-ćmią prawdziwe światło nauki:—o! wtedy—lepiej porzućmy nasze marzenia. Nie sięgajmy tam, gdzie rękę sparzyć, gdzie serce wyziębic— a myśl zdrową skoślawic lub skazić trzeba—by rozum wątpliwym światłem napełnić!—Bo marzenia nam dziś nie wystarczą. Wiek XIX-y domaga się czynu

—pracy... Lecz—„wielu wezwanych—ale mało wybranych“—mówi Pismo święte—a my do wybranych liczyć się nie możemy; nam w pocie czoła pracować trzeba, chcąc zebrać zdrowe owoce. Środki, jakich, dotąd używaliśmy, by wyrównać innym, są bezsilne.... Nam potrzeba energii—zacznej powagi—sumiennosci i zdrowego poglądu na rzeczy, aby na dobrą trafić drogę.

Kobietom znaczna przypada część w tej „Winnicy Pańskiej“ — lecz niech każda wpiérw swój mały domek obejrzy i jego niezbędne pozna potrzeby... bo o pałacach i przepychu—dziś jeszcze marzyć nam nie wolno: pókiśmy sami z siebie ubodzy—a skromna już tylko zagroda została nam po ojcach naszych—i w sercu cicha maleńka spuścizna... Strzeżmyż pilnie tego rodzinnego skarbu—czuwajmy przy domowym ognisku—by i tej ubogiej strzechy, nie pochłoneły niszczące płomienie czasu.

Myśmy ubodzy... ale szlachetne ubóstwo nie krzywdzi nikogo—a praca zacna może poprawić przykre położenie nasze. Nie sądźmy, iż tylko dostatki i cześć tytuły stanowią arystokracją. Wyższość moralna, szlachetność, powaga, pracą i nauką zdobyta:—oto prawdziwa zasługa, której ubó-

stwo materialne bynajmniej nie zmniejsza! A kto ma więcej środków, ten też jaśniej rzecz widzieć powinien; lepiej poznać potrzeby i chętniej śpieszyć drugim z pomocą; bo na nim ciąży większa odpowiedzialność...

Odrzućmy więc zastarzałe przesady i uprzedzenia—obudźmy w dzieciach naszych przekonanie: że zacna praca nie krzywdę, lecz chlubę i pożytek przynieść nam może. Pracujmy wszyscy—jak nam zdolności i możność pozwalają; nie wstydzmy się zgrubiałej dłoni syna ani ogorzałej twarzyczki naszej pieszczoszki... Chciejmy poznać potrzeby nasze i uwierzyć: że tylko wspólnymi siłami dojść możemy do spokoju i zamożności, jakich używają drudzy; a do tego wszystkiego:—tylko rzetelne światło nauki—i moralne a rozsądne wychowanie—doprowadzić nas może.

Lecz wróćmy do zakładów naukowych.

Szkoły żeńskie dla przychodnich są jedyne, jakie mogłyby zapewnić pomyslny rezultat, ponieważ dając naukę, nie odrywają dziewcząt od rodziny, nie pozbawiają ich tak zbawiennego wpływu rodziców, nie zrywają ogniwa, które łączy ścisłym węzłem kochające się rodzeństwo. Lecz i tu wszystko zależy od rozsądku rodziców i umiejętnego kierunku szkoły.

Należy mianowicie istniejące szkoły zreformować, potworzyć nowe, odpowiedni plan ułożyć, wykładem umiejętnie pokierować, a przede wszystkim: usposobić zdolne nauczycielki, którychby nauka nie kończyła się na pisaniu, czytaniu, niedołącznym rachunku i pamięciowej znajomości katechizmu, ale któremiby kierowała myśl zdrowa, jasny pogląd na życie, potrzeby i obowiązki względem społeczeństwa, moralne wychowanie, dokładna znajomość nauk przyrodzonych w połączeniu z technologiją, gospodarstwem domowym i robotami kobiecemi, higieną, historiją i geografiją, niewylączając matematycznej. Działań arytmetycznych, mających na względzie przystępny wykład buchalteryi, a szczególnie rachunek pamięciowy itp., a to wszystko pojmowane w sposób popularny, przystępny dla umysłów tej młodzieży. Słowem potrzeba, aby te szkoły niższe usposabiały uczennice swoje w taki sposób, iżby wyszedłszy z nich, mogły albo poprzestać zupełnie na tej nauce, albo też, jeśli zdolność i ochotę mieć będą ku temu, postąpić do szkół wyższych, i tu z pożytkiem dla siebie, a bez krzywdy dla innych dalsze odbywać studyja.

Zasadą zaś szkół i to wszystkich bez wyjątku, być powinno ugruntowanie w uczennicach przeko-

nania, że nie miejsce człowieka, lecz człowiek zdoby miejsce; że więc, jakikolwiek los im przypadnie, to nauka tylko ku dobremu skłaniać je powinna; że obok ukształcenia umysłowego żadne zajęcie domowe, gospodarskie, żadna praca ręczna nikomu krzywdy nie przynosi; że kształcenie rozumu ku ułatwieniu, ku udoskonaleniu wszelkich zajęć stanu naszego służyć nam powinno, a nie odwodzić od obowiązków. A jakkolwiek zawód nauczycielski uważam za nader właściwy i przystępny dla kobiet, nigdy wszakże ani wykładu, ani kierunku szkołą wyłącznie kobietom nie powierzyłabym. Oile szkoły mieszane z obu płci nie zdają mi się jeszcze u nas na czasie, ¹⁾ o tyle kierunek szkołą koniecznie połączony być powinien. Takie przynajmniej przekonanie dało mi doświadczenie. Szkoła, to podług mnie— troskliwa rodzina, jedna nierozdzielna częśćka z wielkiej całości społecznej... Kierować więc nią powinien zdrowy i trzeźwy pogląd tak ojcowski, jak i macierzyński.... Zawsze jednak dodam: że jedynie tylko rozsądna pomoc rodziców

¹⁾ Szkoły mieszane są, według zdania Redakcyi, również potrzebne i pożyteczne jak zarząd mieszany.

wraz z umiejętnym kierunkiem szkoły, zapewnić może korzyści ogółowi.

Lecz jakże jeszcze dalecy jesteśmy od wspólnego rozumienia się, od pojęcia wzajemnych obowiązków!... Czy bowiem bezwzględną sprawiedliwość i rzetelne dobro dzieci ma każda szkoła bezustannie na względzie? Czy pamięta, że powierzone jej dzieci są to istoty myślące i czujące; że nie łatwiejszego, jak ich myśl skoślawić, jak ich czucie przytępić, lub do najwyższego stopnia rozdrażnić?... Czy znów rodzice nie zapominają, że szacunek i wdzięczność należy się tym, którzy wraz z nimi szczerze około dobra ich dzieci pracują.... Ale niestety! Czym są dziś jeszcze szkoły?... czym jest wogóle wychowanie domowe?... Jakże wiele trudów ponieść musimy, zanim dojdziemy do tego, byśmy wspólnymi siłami dla pożytku dzieci naszych pracować mogli! Aby pojąć cały ogrom czekających nas trudów, dość jest popatrzeć badawczym okiem na paręset dzieci zebranych, ubiegających się o przyjęcie do zakładu naukowego. Co tam za ruchy, co za maniery, co za przesada lub gburowatość w ułożeniu; jakie ubiory, jaki strój głowy? Ile dodatków świecących, lub ozdób uderzających pstrocizną?... A ile nieładu, nieporządku i brudu obok tego wszystkiego.... Jak trudno z pa-

ruset wybrać kilkadziesiąt prawdziwie skromnie, przyzwoicie, czysto i schludnie ubranych i właściwie ułożonych dzieci, na którychby znać było pracę i staranność rodziców lub opiekunów.... Ale to dopiero widzimy po wierzchu, a co będzie w duszy? O! wierzajcie mi, na ten widok ręce opadają, w głowie taki ucisk, taki zamęt powstaje; takie zwątpienie budzi się w sercu na samą myśl: jak temu przyjdzie podolać, jakim sposobem uciszyć, opanować tę niesforną rzeszę; jak ją włożyć do porządku, posłuszeństwa, pilności i akuratności.... A jak oczyścić z wad, nałogów, przyzwyczajzeń, a niekiedy złych bardzo skłonności?... O, ciężkie to zaiste zadanie! A jednak, ktoby się spodziewał?... Dziś nie powiem, że niepokonane, przechodzące nasze siły.... a mówię to z doświadczenia.... Dzieci nasze mają ambycję. Bez kar, bez gwałtów i krzyków, nietylko pilność w naukach, akuratność w obowiązkach, ale i zamiłowanie porządku i pracy—chętnie i sumienne stosowanie się do przepisów obudzić w nich można. Lecz trzeba pracy, wytrwałości, niezłomnej woli w przeprowadzeniu raz ułożonego planu, jednomyślności i zgody całego składu przewodniczącej młodzieży zwierzchności. Trzeba sprawiedliwości i stanowczości w postępowaniu. „Trzeba nieznacznie, ostrożnie, delikatnie i umie-

jętnie, jak mówi Stóy ¹⁾, włożyć dzieci do posłuszeństwa i uległości” — obudzić w nich wiarę w prawość uczuć naszych; natchnąć je przekonaniem: że wyłącznie ich dobro mamy na celu; że pragniemy go serdecznie, cieszymy się ich postępem; że posłuszeństwo ich względem nas, nie jestto jarzmo przez silniejszego włożone na słabszych, ale jestto dobrowolne poddanie się z ich strony, przez co przyspieszają tylko pomyslny skutek swoich starań, a ich pilność, pracowitość, uprzejmość i posłuszeństwo, są prawdziwą pociechą i jedyną nagrodą dla tych, którzy się nimi zajmują; że karząc lub upominając, nie swojej fantazyi lub osobistemu interesowi czynimy zadość, ale tylko szczerą chęć ich postępu w naukach, ich moralne korzyści nami kierują. Taką wiarę w nas i rodziców natchnąłoby wypadało, chcąc, aby dom wspólnie ze szkołą działał!....

Są rodzice zacni; jest dużo matek, wielu ojców, pojmujących swoje zadanie; ale ileż jeszcze razy co innego napotykamy? A ile razy nauka, chociaż nie odrywa dziecka od rodziców, nie pozbawia go ich opieki, najsmutniejsze sprowadza następstwa, albo staje się bezowocną i daremną.

¹⁾ Vaterhaus und Muttersprache.

A jednak uczyć się trzeba koniecznie. Wszystkie kraje Europy pojęły oddawna tę konieczność; my jedni dalecy jeszcze jesteśmy, aby wszyscy przynajmniej czytać i pisać u nas umieli... Nie mówiąc już o wieśniakach, ilużto mieszkańców miast mniejszych i większych — samej nawet Warszawy, niezna ani litery!... Z jakim lekceważeniem rodzice nawet zamożni wolą nieraz o swoich myśleć wygodach, niż o daniu odpowiedniej nauki swoim dzieciom! Ile znów razy od ust sobie odejmują, by zebrać majątek dla swego potomstwa, a żałują wydać grosza na edukację, jakby pieniądze były skarbem wiecznie-trwałym?... Tymczasem majątek nieraz w mgnieniu oka roztrwonią nieokrzesani spadkobiercy, złorzecząc rodzicom, że im nie dali nauki; czym wstyd sobie, a społeczeństwu ujmę tylko przynieśli.

W Prusach, jeszcze w roku 1763, Fryderyk II-gi wydał regulamin, odnoszący się do wszystkich, a mianowicie: 1-o „Chcemy przedewszystkim, aby wszyscy nasi poddani, rodzice, opiekunowie, rzemieślnicy, posyłali do szkół dzieci, za które są odpowiedzialni — tak chłopców jak dziewczęta, od piątego roku życia począwszy, aż do trzynastego lub czternastego. Dzieci te nie będą mogły opuścić szkoły, dopóki się nie nauczą głównych zasad nau-

ki chrześcijańskiej, czytania i pisania i dopóki nie będą mogły odpowiedzieć na pytania, wystosowane podług książek podręcznych edukacyjnych, przyjętych przez nasze konsystorze.

2-o. Rzemieślnicy, którzy zmuszeni są do swej pracy używać dzieci, dostaną surowy nakaz, aby nie odbierali dzieci ze szkół, zanim się nie nauczą dobrze czytać, nauki chrześcijańskiej i początków pisania, o czym pastor i nauczyciel zaświadczą piśmiennie.

3-o. Wtedy nawet, gdy dzieci nabędą dostatecznych wiadomości w pomienionych wyżej kierunkach, przed trzynastym lub czternastym rokiem życia, nie mogą rodzice lub opiekunowie odebrać ich samowolnie ze szkoły, dopóki nadzorca lub inspektor na podstawie zaświadczenia pastora i nauczyciela, sprawdziwszy dostateczność nauki, nie wyda biletu pozwalającego na opuszczenie szkoły. W takim razie dzieci obowiązane są do uczęszczania na naukę niedzielną, dawaną przez pastora w kościele i na korepetycje nauczyciela, dawane w szkole.

4-o. Ponieważ w wielu okolicach tłumaczą się rodzice, że nie mogą posyłać dzieci do szkoły, bo te muszą paść bydło; urzędy sądownicze (?) powinny się zająć obmyśleniem środka, aby pod ta-

kim pozorem nie odbierano dzieci ze szkół i ażeby osobny znalazł się pastuch do bydła. Gdzie mieszkania zbyt są rozproszone, a z tego powodu bydło wspólnie się paść nie może, tam pozwala się, aby dzieci z jednego domu, albo bliskiego sąsiedztwa kolejno do pilnowania bydła używano, byle każde przynajmniej trzy razy na tydzień do szkoły poszło, a w ten sposób nie mogło zapomnieć w lecie, czego się nauczyło w zimie.

5-o. Artykuł piąty stanowi, aby zimową porą lekcye odbywały się codziennie dwa razy nadzień, to jest rano i popołudniu, wyjąwszy tylko we środę i w sobotę; w te dwa dni tylko rano. W lecie będą lekcye rano i wieczór, podług okoliczności miejscowych. Każda lekcya trwa godzin trzy.

6-o. Rodzice, opiekunowie i wszyscy, na których spada odpowiedzialność za wychowanie dziecka, którzy wbrew naszym zbawiennym przepisom, nie posyłają dzieci do szkół, muszą pomimo opłacać chesne nauczycielowi; a władze miejscowe zniewolą ich sądownie do posyłania dzieci regularnie, jeżeli tego pomimo surowej przestrogi pastora nie uczynią.

Inspektor objeżdżający, przekonawszy się, które dzieci nie chodziły do szkół ubiegłego roku, ukarze winnych rodziców grzywnami, na korzyść ka-

sy szkolnej w sumie 16 groszy srebrnych. ¹⁾ Jedy-
nym wytłomaczeniem może być udowodniona cho-
roba.

W wielkiej kodyfikacyi pruskiej z r. 1794, obo-
wiązek oddawania dzieci do szkół (Schulpflichtig-
keit), znalazł się w rzędzie fundamentalnych praw
państwa. Każdy mieszkzniec, niemogący lub nie-
chcący dzieciom swoim dać potrzebnej nauki w do-
mu, obowiązany jest posyłać je do szkoły, skoro
dojdą lat pięciu. Od piątego roku począwszy, nie
może żadne dziecko niechodźć do szkoły, albo
opuszczać ją na dłuższy czas, chyba, gdyby szcze-
gólne zaszły okoliczności, a władza cywilna i ko-
ścielna na to przyzwoliła”.

Takiemito przymusowemi środkami zaprowadzo-
no oświatę w Prusach przeszło sto lat temu, ale za
to nietylko w Prusach właściwych, ale i w zabra-
nych krajach nie znajdzie dziś człowieka, któryby
czytać nie umiał. Bawiąc przed parą laty na Szląz-
ku pruskim, miałam sposobność przekonać się, jak
wielka jest różnica między tamtejszym ludem pro-
stym a naszym — między tamtejszą klasą średnią
a naszą. W samym już ubraniu widoczny jest wpływ

¹⁾ Mniej więcej 60 naszych kopiejek.

oświaty, Tam każda sługa prosta umie nietylko czytać i pisać, ale z prawdziwą nieraz przyjemnością porozmawiać z nią można. Grzeczność, uprzejmość, właściwa śmiałość we wszystkich, w dzieciach nawet, jest uderzającą; lud prosty z całą uprzejmością odpowiada, ile razy jest o co zagadnięty; nie przejdzie, żeby nie powitać — nie wejdzie do cudzego mieszkania, żeby lekkim zapukaniem do drzwi nie prosić niejako o pozwolenie; słowem, znać pracę, znać wychowanie! Czy lud nasz mniej ma wartości wewnętrznej, moralnej — tego nie powiem, bo przypatrując się ludowi naszemu, naszym włościanom, znalazłam w nich znaczne dusze, poczciwe serca i zdrowy rozsądek, tak zwany chłopski rozum; brak tylko oświaty, o którą niestety nie dbaliśmy nigdy;—a wszak i u nas był „wiek złoty”.

Tenże sam system przymusowego nauczania przyjęto w Saksonii. Przymus nauczania istnieje w Saksonii dawniej jeszcze niż w Prusach. Czytamy w rozkazie Elektora Jana Jerzego z roku 1573:

„Chcemy i rozkazujemy, aby każda gmina założyła szkołę, aby każdy, słuchając przestroóg pastora, posyłał do niej dzieci swoje, broniąc je tym sposobem od rozpusty i próżniactwa, i zapewniając im wychowanie w bojaźni Bożej i karności obyczajów”.

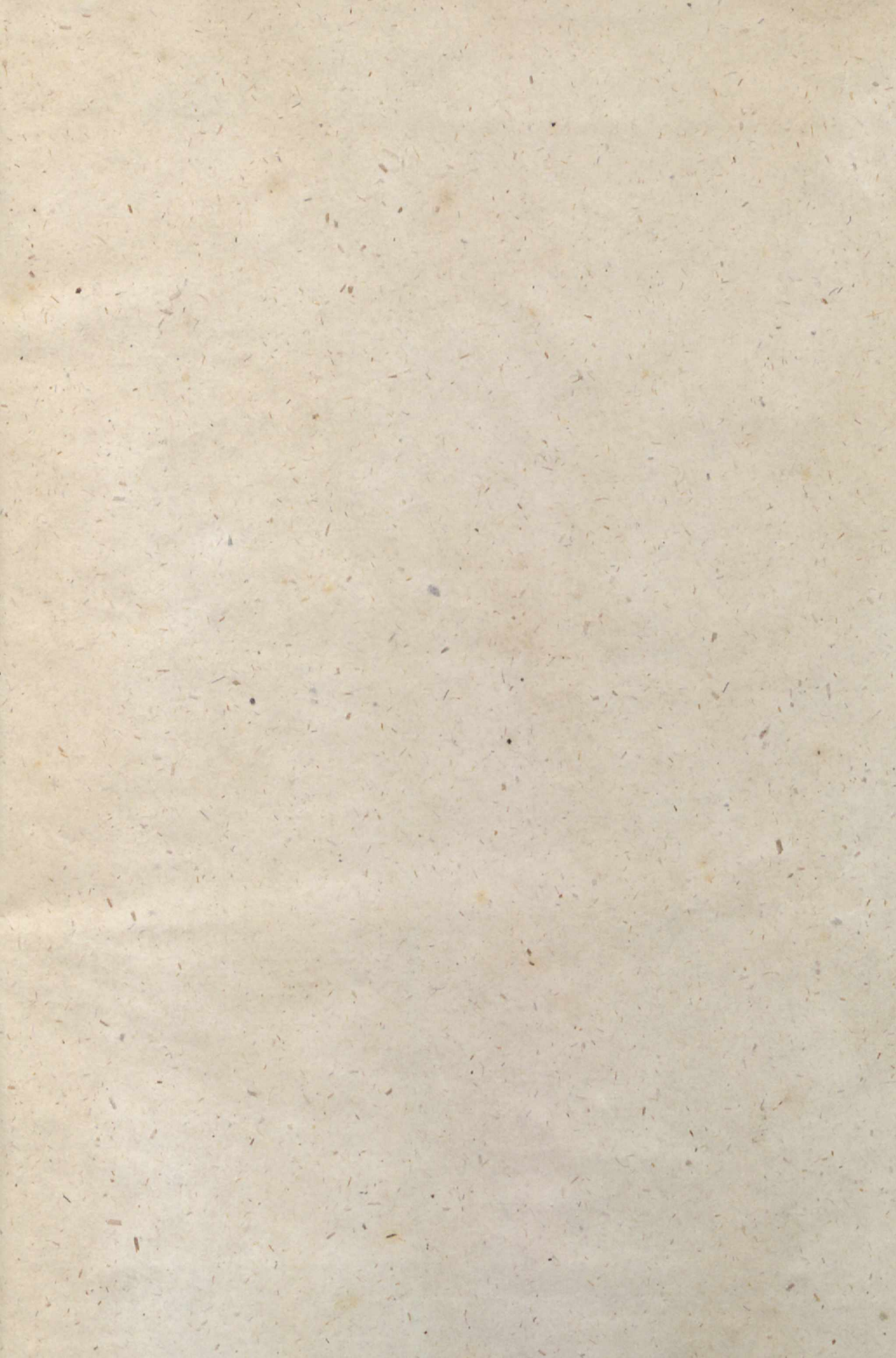
W Hanówerze muszą dzieci uczęszczać do szkoły, skończywszy szósty rok życia.

W Bawaryi nie może dziecko przed dwunastym rokiem życia szkoły opuszczać. Nie może nikt terminować u rzemieślnika, nie może się ożenić, kto nie poddał się egzaminowi i nie otrzymał zaświadczenia, pozwalającego mu szkołę opuścić.

I u nas była chwila między rokiem 1850 a 1855, kiedy Władza Edukacyjna wydała polecenie, obowiązujące każdą gminę do utrzymywania szkoły.

A gdy rozkaz poprzedni zamieniono na dowolne szkół zakładanie, zaledwie kilku zacnych obywateli zażądało wykwalifikowanych nauczycieli do swoich włości, z b. Instytutu Nauczycieli Elementarnych w Radzyminie.





The following is a list of the names of the
 persons who have been appointed to the
 various committees of the Board of
 Directors of the University of California
 for the year 1900-1901. The names are
 given in alphabetical order of the
 surnames. The names of the members
 of the Board of Directors are given
 in a separate list. The names of the
 members of the various committees are
 given in this list. The names of the
 members of the Board of Directors are
 given in a separate list. The names of
 the members of the various committees
 are given in this list.



54